

kamena

NR 9 (907)

1 maja 1988

Cena 35 zł

Tada Szulca polskie wizje

Wiesław Horabik

WŁODZI natrafiłem na dwupiętrową kamienicę przy ulicy Piotrkowskiej, przy wejściu do której dostrzegłem wmurowaną tablicę, głoszącą dumnie, iż Artur Rubinstein urodził się tutaj w 1887 roku. Wielki pianista jest największym bodaj powodem do chwały tego włókienniczego miasta. Z takim napięciem wpatrywałem się w pamiątkowy napis, że nagle podeszła do mnie starsza kobieta i zapytała po polsku: „Pan chyba znał Artura Rubinsteina?” Czy znałem? Odpowiedziałem, iż spotykałem go, jeszcze będąc dzieckiem, i nagle uświadomiłem sobie, że znajduję się przecież cztery domy od miejsca, gdzie podczas I wojny światowej mieszkali moi dziadkowie. Miałem ten adres zapisany w notatniku. Dobrze było wiedzieć, że mały odprysk mojej rodzinnej historii pozostał nienaruszony zaledwie kilka kroków od cząstki legendy wielkiego człowieka.

Tada Szulca powrót do Polski był jakby powrotem do korzeni. Z tego właśnie kraju wyruszył wraz z rodziną, w późnych latach trzydziestych, na swą życiową wędrówkę. A może w przypadku Żydów nie mówi się o powrocie do korzeni? Każdy z nich szybko staje się przecież obywatelem świata. Może więc bardziej stosownym byłoby mówienie tu o powrocie do klimatu, do utraconego uczucia, do źródeł nostalgii? Wszystko to obecne jest w polskich wizjach Tada Szulca.

Jeden z najwybitniejszych amerykańskich dziennikarzy, wieloletni korespondent „New York Timesa” w Ameryce Łacińskiej, autor bestsellerowej biografii Fidela Castro, opublikował w styczniowym numerze „National

Geographic” obszerny tekst o Polsce. Nadał mu tytuł: „Polska. Nadzieja, która nie umiera”. W ten sposób podjął właśnie konfrontację uczucia z nakazem obiektywizmu, emocji z chłodnym wyrozumowaniem. W jego wędrówkach po świecie dobrze widać, że to miejsce, do którego znów trafił po latach, jest miejscem szczególnym.

Jerzy Urban, komentując swego czasu w „Polityce” (9/88) nasz wizerunek na Zachodzie, pisał: „W publicystyce na polskie tematy operuje się na Zachodzie dwoma dogmatami. Pierwszy to, że polska gospodarka znajduje się w ruinie, a władza jest nazbyt nieudolna i ma za małe poparcie, aby ją dźwignąć poprzez reformę. Drugi dogmat jest taki, że kluczem do naprawienia gospodarki jest wyłącznie substancja polityczna. Gdyby władza zgodziła się na odtworzenie związku «Solidarność» i zalegalizowała różne inne przeciwnie wobec niej ruchy polityczne, Polacy natychmiast zaczęliby gorączkowo pracować. Nie czynią tego bowiem, gdyż są w żalobie po swobodach z 1981 r., które utracili 13 grudnia tamtego roku. Gdyby władze przystały na związkowy i polityczny pluralizm, uzyskałyby poparcie społeczne dla reformy gospodarczej, Zachód pomógłby i Polska rozkwitłaby szczęśliwie. Ignoruje się całkowicie polskie doświadczenia historyczne”

W tekście Szulca brak tego syndromu i już samo to czyni go wartym poznania przez polskiego czytelnika w formie szerszej niż jedynie krótkich felietonowych wzmianek.

Dokończenie na str. 8

TWIERDZI się, że praca jest najwyższym dobrem, prawem, obowiązkiem i podstawowym miernikiem społecznej oceny człowieka.

Alte jednocześnie mówi się tak: — Pracuj, pracuj, a ci garb wyrośnie.

Z drugiej przeciw strony słyszymy: — Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą.

Znamy jednak i takie powiedzenie: — Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy.

Jeśli powyższe opozycje wydadzą się komuś niepoważne, przypomnijmy jeszcze, że wygnanie z Raju było równoznaczne ze skazaniem Adama i Ewy na ciężkie roboty, a marksowskie pojęcie alienacji wiązało się głównie z pracą najemną, podporządkowaną określonym stosunkom produkcji.

Moralny i społeczno-ekonomiczny status pracy nie poddaje się sensownej ocenie bez uwzględnienia warunków i celu ludzkiego wysiłku. Mało tego: traktowanie pracy jako wartości idealnej, samej w sobie, zatem wyniesionej na takie lub inne ołtarze, zamienia ją w narzędzie wyzysku i specyficznej indoktrynacji, deformując jednocześnie wizerunek rzeczywistości społecznej w oczach protagonistów takiego postępowania.

— Módl się i pracuj — zachęcano niegdyś chłopca i robotnika, widząc w nich bydło robocze. Co z tego wynikało, wiadomo: rewolucje.

Podstawowym ogniwem każdego procesu pracy jest jednostka ludzka, nieważne, czy zatrudniona przy taśmie, w brigadzie, czy na samodzielnym stanowisku. Jeśli więc nie respektuje się różnorodnych możliwości i potrzeb tego pojedynczego człowieka, trudno spodziewać się po nim odpowiedniej postawy i takiej wydajności, która pomnożona zbiorowym wysiłkiem, owocuje dobrem społecznie istotnym. Mówimy tu oczywiście o możliwościach i potrzebach realnych, złożonych z aspektów materialnych, psychologicznych i etycznych, których nie wolno postrzegać inaczej, jak na sposób komplementarny.

Zyjemy w takich czasach, w których praca zadecyduje o narodowym „być albo nie być”.

Pamiętajmy jednak, że na nie zdadzą się reformy, reorganizacje, restrukturyzacje i rewolucje, jeśli efekty ludzkiego trudu nie staną się wreszcie stałym, niepodważalnym i jedynym miernikiem oceny społecznej przydatności każdego z nas.

Tyle z okazji 1 Maja, Święta Pracy, które jest dniem wolnym od pracy.



Rzeźba ludowa.

Fot. Lucjan Sarnecki

Bez wyboru nie damy rady

KRZATANINA wokół wyborów do rad narodowych roznieca stare dyskusje nad pojęciem i możliwościami rozwoju demokracji w Polsce. Wypowiadają się na ten temat ludzie w wieku podeszłym, mający jeszcze przed oczami sylwetki Piłsudskiego, Rydza-Smigłego czy Becka, a także młodszy, którzy wyrastali pod portretowym spojrzeniem Bieruta i Gomułki, by wiek męskiej kłębki osiągnąć „za Gierka”.

To bardzo dobrze, jeśli naród chce i może rozprawiać publicznie o sprawach wagi państwowej.

Ale ten konkretny przypadek traci trochę paradoksem.

Pożyteczną na ogół dyskusję o demokracji prowadzi o pokolenia, którym okoliczności dziejowe nie zezwoliły na dłuższe i głębsze doświadczanie demokracji: burżuazyjnej czy socjalistycznej — że posługuję się terminami z klasycznej encyklopedii.

Owszem, poczynając od roku 1918 nadszedła Polska moda na demokrację, bywały nawet sezony demokratyczne, ale zwykle mniejszość społeczeństwa paliła się do tego, by podporządkować sobie ducha i materię większości: w imię racji stanu lub sprawiedliwości dziejowej. W tym celu, bez względu na charakter stosunków produkcyjnych, panujących akurat w kraju, wynoszono np. na ołtarze pojedyncze osoby, które mianowano najpierw wodzami, a później przywódcami narodu.

Nie było to pozbawione pragmatycznego sensu, jako że nie mocniej — nie przemawia do zbiorowych emocji, jak mit upersonifikowany, wyprodukowany z krwi i kości niczym everybody, ale przecież lepszy, mądrzejszy od każdego przeciętnego człowieka.

Jako teoretycy demokracji różnimy się oczywiście w poglądach na jej istotę, zakres, funkcje, co ujawnia się w ocenie realiów społeczno-politycznych, takich na przykład, jak znówelizowana ordynacja wyborcza do rad narodowych.

Opierając się na wynikach tzw. sondy towarzyskiej, którą z braku odpowiednich ustaleń naukowych zmuszony byłem zapuścić w świadomości obywatelską znajomych mi osób, doszedłem do wniosku, że typowe opinie na temat ordynacji wyrażają się w takich stwierdzeniach:

— To kolejny i długi krok ku demokracji.

— To ledwie kroczek z „kluczem” u nogi.

Tylko pojedynczy „respondenci” widzieli w ordynacji zagrożenie dla pryncypiów ustrojowych.

Obraz rzeczywistości zależy podobno od punktu widzenia, ten zaś od punktu siedzenia obserwatora, ale poza tym są jeszcze fakty, które beznamiętnie informują, że nowa ordynacja wprowadza do praktyki wyborczej takie zasady i procedury, o jakich chyba nie śniło się ustawodawcom starszej daty.

Niebywałe poszerzenie liczby organizacji i środowisk uprawnionych do wyznaczania kandydatów na radnych, likwidacja tzw. list preferencyjnych na rzecz alfabetycznych, konieczność „tumaczenia się” kandydatów przed wyborcami i starania się o ich głosy, dyrektywa ubiegania się o jeden mandat przez 2—3 osoby, możliwość weryfikacji kandydatów kolegium wyborczego przez obywatelskie zebranie konsultacyjne — oto nowe i ważne postanowienia ordynacji.

Mają to czy duży krok ku demokracji?

Zapewne, niejedną z nas, teoretyków, mógłby w trymaga skreślić przy biurku. Jeszcze bardziej demokratyczne prawo wyborcze. Ale co z tego, skoro wiadomo, że instytucje i formy życia publicznego nigdzie, w żadnym kraju, nie powstają „przy biurku”, lecz stanowią wypadkową sił społeczno-politycznych, ukształtowanych w określonej strukturze ekonomicznej.

Zwróćmy uwagę, że w poważnym stopniu uzależniając wyniki całej operacji od indywidualnych decyzji obywateli, od ich odwagi i mądrości, ordynacja przywraca wreszcie sens pojęciu „wybory”. Ale czy to znaczy, że zostaliśmy łaskawie obdarowani przez jakieś wysokie moce? Śmiechu warte! Rzecz w tym, że bez możliwości wyboru wartości, form pracy i życia nie postawimy naszej gospodarki na nogi, nie sprostaemy wyzwaniu cywilizacyjnemu współczesnego świata.

Bez wyboru po prostu nie damy rady.

(K)

Obroty spraw

„BARYKADY PRZEBUDOWY”

Taki tytuł nosi stenogram dyskusji, zorganizowanej przez redakcję biuletynu „Wiek XX i Mir”. Oto fragmenty tej arcyekawej wymiany poglądów.

A. Arseniew, filozof:

Wydaje mi się, iż niedojrzałość naszych stosunków społecznych wyraża się przede wszystkim w kastowym systemie biurokracji. Powstała sytuacja, której tak bardzo obawiał się W. Lenin. Mówił on, iż usytuowanie partii bolszewików jako partii rządzącej jest bardzo niebezpieczne i jeśli nie będzie się surowo przestrzegać zasady, zgodnie z którą członkostwo w partii i piastowanie partyjnych funkcji nie może dawać żadnych przywilejów materialnych czy jakichkolwiek innych, partia nieuchronnie przekształci się w kastę, w biurokratyczny aparat, całkowicie oderwany od narodu... Ostrzeżenia tego nie potraktowano jednak poważnie... I dziś najpotężniejszym, dysponującym praktycznie nieograniczoną władzą, hamulcem przebudowy jest i będzie aparat biurokratyczny. Biurokracja, która dzięki środkom państwowym dysponuje całym systemem przywilejów kastowych, przy czym nie tylko materialnych (mieszkania, samochody, specjalne sklepy i usługi), ale także prawną bezkarnością.

J. Afanasjew, historyk:

I Marks i Lenina wychodzili np. z założenia, iż kapitalizm spełnił już swoją rolę, tworząc te siły społeczne, stosunki i polityczną nadbudowę, które trzeba tylko wziąć i zacząć wykorzystywać dla rozwoju socjalistycznego. Tymczasem historia potoczyła się zupełnie inaczej i to, co obserwował Marks, a nawet Lenin, było tylko jednym z wczesnych etapów kapitalizmu. Nikt, żaden geniusz nie mógł jednak przewidzieć pierwszej i drugiej rewolucji naukowo-technicznej... Wszystko to zmienia jednak zasadniczo nasze wyobrażenia o kapitalizmie i jego możliwościach, co powoduje również — i jest to naturalne — że wiele idei Marksa i Lenina należy z tego punktu widzenia uznać za przestarzałe.

Obecnie konieczna jest nowa nauka o socjalizmie, która, jak dotychczas, jest jeszcze słabo rozwinięta. Pewne jej elementy można znaleźć u zachodnich marksistów, w szczególności u Gramsciego i Togliattiego. W tej nowej nauce wiele kwestii trzeba przemysleć od nowa. Dotyczy to np. problemu roli czynnika politycznego i państwowego, a także niebezpieczeństwa etatyzacji społeczeństwa.

L. Batkin, historyk:

Drogi odwrotu nie ma. Ale czy może to wszystko, co planujemy, zakończyć się inaczej? Spójrzmy trzeźwo: może. W takim przypadku jednak kraj nasz przestanie być mocarstwem światowym. Tak jak pod względem poziomu śmiertelności wśród dzieci spadliśmy na 52 miejsce w świecie, łądząc wśród państw słabo rozwiniętych, tak również i pod względem wszystkich pozostałych parametrów, w epoce rewolucji komputerowej i nadprzewodnictwa, staniemy się państwem zacofanym. Tę zależność jesteśmy zobowiązani ludziom objaśnić; muszą oni zrozumieć, że bez przebudowy na zawsze utracimy status mocarstwa światowego — zarówno w sferze militarnej, jak i politycznej, gospodarczej oraz kulturalnej. Przy tym wszystkim nadal będziemy wmontowani w cały system stosunków współczesnego świata, który bynajmniej nie będzie na nas czekał. To zaś grozić będzie przerażającymi wstrząsami: dla nas i dla całego świata.

FESTIWAL IM. STALINA

trwa nadal na łamach naszych czasopism. Trochę to się odbywa na zasadzie: ponieważ nie było można, a teraz już można, więc trzeba sobie porządnie ulżyć, bo może znowu nie będzie można...

W tygodniku „Wprost” (nr 16) Marek Zieleniewski pisze, że dowiedział się od Franciszka Szlachcica (generała milicji obecnie w stanie spoczynku), że generał dowiedział się od Chruszczowa, że Stalin „to był Polak”. I jeszcze co na ten temat usłyszał Szlachcic od „pewnego starego czekisty” w Moskwie, który „opowiedział, jak to znany badacz Azji, polskiego pochodzenia, hrabia Przewalski, poznał ubogą Gruzinkę. Ta prosta dziewczyna urodziła dorodnego chłopaka. Była jednak zbyt niskiego stanu, aby liczyć na dożgonne więzy z hrabią, więc szybko znalazła dla niej męża. Był nim biedny szewc-pijaczyna. Nazywał się miał Dżugaszwili”.

Do tej pory znane były: koń Przewalskiego, wielbłąd Przewalskiego i Góry Przewalskiego. Odtąd znany będzie jeszcze — Stalin Przewalskiego.

GLUPI HANDEL

W pawilonie handlowym przy ul. Lipowej w Lublinie 20 kwietnia jajko kosztowało 35 zł. Przed pawilonem u kobiety z kobiałką — 25 zł. Nasz tzw. handel społeczny jest głupi.

PRO DOMO SUA

Informujemy, że redakcja nie odpowiada za fatalną jakość fotografii reprodukowanych w „Kamieniu”, na których widać, że nic nie widać. Dobrze chociaż, że jako tako, aczkolwiek coraz gorzej, litery widać. Gdy i one staną się nieczytelne, trzeba będzie zamknąć firmę i zająć się zarabianiem jakichś sensownych pieniędzy.

Pdg

KRONIKA KULTURALNA

● Dynamiczny, wystylizowany folklorystycznie, znany w kraju i za granicą, głównie w środowiskach polonijnych — Zespół Tańca Ludowego UMCS „kończył” właśnie 35 lat. Z tej okazji w wyremontowanej sali „Chata Zaka” odbyła się w połowie kwietnia seria koncertów w której oprócz jubilatki wystąpiły inne podobne zespoły, powoła-

ne do życia (w Zamościu, Bilgoraju etc.) przy pomocy lubelskiego ensemble'u. Nasze gratulacje.

● Dowiadujemy się z prasy, że w lubelskim osiedlu mieszkaniowym Czuby zasadził się 1,5 tys. drzew i 25 tys. krzewów ozdobnych. Tymczasem w pobliskim wawozie, który miał być parkiem ciągle plenią się straszne bieda-działki. Ich użytkownicy tak mocno wgrzyli się w ziemię że nie reagują na żadne racje: społeczne i estetyczne zgodnie z którymi już dawno należało wyeksmitować mieszkających malarzów z tego niekiedy niegdyś terenu. W obrębie LSM w podobny sposób zdegradowano jeszcze trzy inne miejsca: zarząca przerzuciła ostatnio nawet pod pojedyncze budynki osiedla im. Prusa.

● Urodzony w Lublinie (1947), a zamieszkały w Białej Podlaskiej — Jacek Spiszczyński polubił swoje malarstwo w Galerii Sztuki MDK „Pod Akacją”. Zwracał m. in. uwagę

olejny tryptyk pt. „Zabytek”. Inne wystawy lubelskie: Elżbiety Kalinowskiej „Znak i przestrzeń” oraz Edwarda Łazikowskiego „Konstrukty” (obie w BWA).

● Od 6 do 20 kwietnia w zamojskiej Galerii Sztuki Współczesnej czynna jest ekspozycja malarstwa Janusza Kaczmarskiego z Warszawy niegdyś prezesa b. ZPAP. Jego wybitna twórczość to m. in. swolista celebracja pospolitych przedmiotów, ujawniająca ich poetyckie treści.

● Zmarł Eugeniusz Baranowski (1916—1988), rzeźbiarz i autor wielce oryginalnych rysunków, które jednak bardzo rzadko wystawiał. Był jednym z organizatorów średniej szkoły plastycznej w Zamościu, gdzie nauczał w latach 1946—1950. Po przeniesieniu się do Lublina kierował liceum plastycznym w którym następnie przez wiele lat wykładał i prowadził zajęcia z rzeźby. Odznaczony m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

JAK uczy historia ludzkich cywilizacji i kultur największy i decydujący wpływ na zachowanie jednostek ma sankcja społeczna. Tylko społeczeństwo jako całość (lub autorytatywna grupa) umie wymuszać na ludziach pożądane zachowania przy czym w wielu wypadkach nie trzeba uciekać się do pomocy prawa wystarczy groźba powszechnego potępienia lub wykluczenia ze społeczności. Powiedzmy: wystarczała. Dzisiejsze społeczeństwa przemysłowe są bowiem liberalne i coraz bardziej liberalne. Relikty konserwatywnego moralnego, jeśli przetrwały jeszcze gdzieś, są trudne do zaakceptowania. Zresztą ich etiologia świadczy, iż sztywność Kościoła obraca się niekiedy przeciwko jego nauce. Potencjalnie powszechnie panuje z dzieckiem (w przeszłości znaczny odsetek samobójstw dziewcząt wynikał z tego powodu). Ponieważ ten grzech był widoczny. Usunięcie płodu odbywało się w tajemnicy i pozostawało tajemnicą konfesjonału. Trudno się zatem dziwić że zabier ten spowszedniał i uważany jest za zło „mniejsze”. Można przewidywać, iż niewiele dziś ludzi traktuje usunięcie płodu jako równoznaczne z zabiciem człowieka. Toteż niezależnie od osobistych przekonań moralnych i religijnych nie mamy innego wyjścia, jak zaakceptować ten stan rzeczy. Regulacje prawne, poczynione wbrew okrutnym wymogom życia nie mają racji bytu na dłuższą metę. Każdy musi rozważyć ten problem we własnym sumieniu. Sadzę że umiejętność przeżywania istoty życia i człowieczeństwa ma tu ważniejsze znaczenie niż przynależność do wspólnoty religijnej. Znam kobiety, chodzące co niedziele do kościoła, które usunęły płód. Znam zadeklarowanych ateistów którzy uważają że z chwila zapłodnienia powstaje nowe życie ludzkie i nikt nie odważyłby się go zniszczyć.

Należy więc sadzić że jeszcze łatwiej oswoi się ludzkość z uśmiercaniem mikroskopijnych zarodków. Realna perspektywa opanowania struktury genetycznej człowieka, a co za tym idzie — możliwość skutecznego weliminowania chorób sprawi że głosy protestu będą coraz rzadziej docierać do laboratoriów. Z uśmiercaniem ludzi w imię biologicznego dobra ludzkości czy społeczeństwa jesteśmy przecież dobrze oswoieni ponieważ nieraz byliśmy poddawani podobnym operacjom. Posiadamy zresztą znakomitą umiejętność uzasadniania takich zabiegów a także — po fakcie — kаяnia się za błędy. Tylko człowiek jako jednostka pozostała bezbronny, ponieważ ktoś miał silę by uzurpować sobie prawo decydowania o jego losie.

Chodzi tu zresztą nie tylko o pozwolenie udzielone bądź nie przez rodziców przysięgłego dziecka. Wraz z postępowaniem, taki obserwuje się w opanowaniu zapłodnienia in vitro zwiększa się liczba zarodków, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Tam gdzie są ku temu odpowiednie warunki zamraża się je w płynnym azocie do temperatury 196 stopni poniżej zera. Oczywiście z uzasadnieniem że jest to zapas na wypadek gdyby zabieg skończył się niepowodzeniem. Tumaczenie takie jest w pewnej mierze uzasadnione: są już dziećmi z zamrożonych embriionów. Ale niektórzy naukowcy szacują, że takich zamrożonych zarodków ludzkich jest już na świecie około 10 tysięcy! Prawdziwie liczby nikt naturalnie nie zna, musimy zdać się w tym przypadku na domniemania osób kompetentnych niewatpliwe jest jednak, że ilość ta będzie z roku na rok rosła. Natomiast w klinikach, które nie posiadają aparatury do zamrażania, zbędne zarodki wlewa się do zlewu.

Eksperymenty na płodach

O doświadczeniach na ukształtowanych płodach pisze w cytowanej poprzednio książce Stefan Kornas. Podaje on przykład eksperymentu przeprowadzonego w George Washington University Hospital przez doktora G. Chamberlaina. Mianowicie przyjęto tam na zabieg przerwania ciąży 14-letnią dziewczynę. Po wyjęciu, prawie kilogramowy płód podłączono do urządzenia tłoczącego krew — co trwało 5 godzin i 8 minut. Wskutek nieważności personelu (a jest to dobry przykład na to, jak traktuje się takie doświadczenia) przewód został przerwany i po 21 minutach dziecko zmarło z powodu uduszenia. „Celem powyższego eksperymentu (jak i wielu podobnych przeprowadzanych na takich płodach ludzkich — pisze Kornas — było zbada-

nie możliwości użycia sztucznego lo-
żyska do zwalczania trudności oddy-
chania i takie rzadziej występowały u
niemowląt przedwcześnie urodzonych.
Do takich doświadczeń G Chamberlain
i jego koledzy używali płodów ludz-
kich których waga sięgała od 300 do
980 g traktując je po prostu za przed-
mioty doświadczenia które ginęły w
trakcie wykonywanego eksperymentu".

A oto przykłady innych eksperyment-
ów które wynotowałem z książki Kor-
nasa. W Sztokholmie ośrodek badań
szpitala uniwersyteckiego posiada apa-
rat pozwalający utrzymać przez parę
godzin przy życiu płód siedemnasto-
czy osiemnastotygodniowy. W Anglii
istnieje prawdziwy targ płodów jeszcze
żywych które służą do doświadczeń,
zanim się je uśmierci [..] Doktor Hu-
ant autor książki "Non a l'avortement"
(co znaczy: Nie — sztucznemu poro-
nieniu) widział zdiecia naczyni ekspe-
rymentalnych zwanych sztucznymi
macicami, gdzie żywy płód, zanurzony
w środowisku odżywczym dla utrzy-
mania przy życiu jest cały nalezony
elektrodami, przylączany do całego sv-

ka zaczyna się z chwila poczęcia i po-
winno być od tego momentu chronio-
ne, wywołane jest coraz bardziej
stanowczo nie tylko przez etyków, ale
także lekarzy i uczonych innych spe-
cjalności. Na międzynarodowym Kon-
gresie Zrzeszenia Studiów Psychologii
Prenatalnej w roku 1972 we Fryburgu
i w Parwzu w 1973 r. za początek ży-
cia ludzkiego uznano chwile zapłod-
nienia komórki jajowej. Identyczne
stanowisko zajęła międzynarodowa or-
ganizacja World Federation of Doctors
who Respect Human Life (Federacja
Lekarzy Szanujących Życie Człowieka)
na kongresie w Innsbrucku w roku
1976. Wielu wybitnych uczonych osobi-
ście ogłaszało swoje stanowisko w tej
sprawie, jak np. F. Bühner, profesor
Uniwersytetu we Freiburgu im Bres-
gau który stwierdził że — cytując za
Kornasem — „z chwila połączenia się
gamet ludzkich powstaje nowe indy-
widuum zaczyna istnieć człowiek”. Tak-
że wielu polskich lekarzy w tym zna-
nych mi osobiście uważa że mikrosko-
piczny zarodek jest już żywa osoba i
nie mamy prawa go uśmiercać

moralne. Byłoby niehumanie i nieczy-
ny zrobić coś tylko po to aby za-
dośćcześnie własnemu „ja”, nie czy-
niać przy tym niczego co mogłoby szu-
żyć ludziom. Pole do retorycznych, so-
fistycznych popisów jest w tym orzy-
padku ogromne i nie trudno znaleźć
argumenty na to że nie mam racji.
Ale jeżeli powiem że nauka ma w
sobie coś dwulicowego to przynajmniej
także stwierdzić że również dwulico-
wa — w zestawieniu z potocznym ży-
ciem — bywa wykładnia etyczna

Wielu ludzkich poczynań nie można
rozstrządać bezwzględnie miarą dobra i
zła chociaż powleczając wcześniej
że miara taka jest konieczna. Doktor
Chamberlain złamał bez wątpienia tabu
odnoszące się do świętości życia. Zro-
bił to może jednak nie dla zasokoje-
nia własnej odcy uczonego ale po to,
by można było w przyszłości ratować
płody, które przy dzisiejszym stanie
wiedzy skazane są nieuchronnie na
śmierć. Toteż jeżeli dzięki eksperyment-
om Chamberlaina i ośrodka sztok-
holmskiego zostanie skonstruowana
sztuczna macica będzie to niewatpli-

wymyślona biosfera fizycznymi, chemicz-
nymi lub biologicznymi czynnikami
chorobotwórczymi. Jest oczywiste, że do
organizmów kręgowców zmiany te prze-
nikają najczęściej drogą przewodów po-
karmowego, a przede wszystkim wraz
z konsumpcyjną wodą i środkami spo-
żywczymi. Tak — między innymi —
powstaje wiele chorób nowotworowych,
wobec których jesteśmy bezbroni. Nie
tylko zresztą winne są substancje; za
pewną odmianę raka skóry, zwaną
czerniakiem, wini się słońce, czyli świa-
tło, posiadające w swoim składzie fale
świetlne o różnej długości. (Rozważa-
jąc w tej mierze także teorię światła
jako fotonów, czyli cząsteczek materii).

Niektóre czynności związane z zapłod-
nieniem in vitro wykonuje się przy
świecie dziennym i sztucznym, ale na-
wet gdyby stosowano aparaturę umo-
żliwiającą lekarzom wykonywanie tych
operacji po ciemku, to przecież byłoby
to przyrządy emitujące pewne promie-
niowanie

Po drugie: plyn Menezes, imitujący
ludzki plyn jajowodowy, służący jako
podłoże do hodowli zarodków, jest sub-
stancją, która właśnie imituje, naśla-
duje, ale nie jest tym samym, co natu-
ralne środowisko organizmu matki,
gdzie rozwija się embrion.

Po trzecie: urodzily się dzieci z za-
rodków zamrożonych. Wszystko wska-
zuje na razie, że są one zdrowe i roz-
wijają się normalnie. Ale skutek mu-
tacji genetycznej nie musi ujawniać się
natychmiast, może — po kilkunastu czy
kilkudziesięciu latach, a nawet w dru-
gim czy trzecim pokoleniu.

Jest to — oczywiście przyznając —
tzw. gdybanie, choć oparte na realnych
podstawach. Pewne niuanse w wypo-
wiedziach zwolenników zapłodnienia in
vitro są wszak znaczące. Mówią oni,
że „nic nie wskazuje”, „przy obecnym
stanie wiedzy” itp. Gdyby ich natom-
niast zapytano, czy z całą stanowczo-
ścią i uczciwie wykluczają powyższe
wątpliwości, każdy z nich musiałby od-
powiedzieć, że — nie.

Zanim lekarze posiadli umiejętność
oznaczania grup krwi, praktyczne doś-
wiadczenia wykazały, że transfuzja ra-
tuje w pewnych przypadkach życie.
Było natomiast przez wiele lat tajem-
nicą, dlaczego coraz więcej pacjentów
umiera. W miarę upowszechniania się
założeń, iż krew leczy, rosła liczba
doświadczeń, sięgano często po transfu-
zję jako ostatnią szansę, najnowszą me-
todę, choć dzisiaj wiemy, że wiele ów-
czesnych diagnoz było błędnych i chory
umarłby, gdyby podano mu nawet krew
odpowiedniej grupy. Gółym okiem, a
także uzbrojonym według możliwości
ówczesnej techniki, krew nie różniła
się od krwi, sądzono po prostu, że
krew wszystkich ludzi jest jednakowa.
To samo sądzi się obecnie o genach,
być może dlatego, że dzisiejsze aparaty
i przyrządy pomiarowe są również nie-
doskonałe. To, co uważa się obecnie za
najmniejszą cząsteczkę żywej materii,
być może nią nie jest. Podobnie jak
atom czy jądro atomu, o których są-
dzono przez pewien czas, że są nie-
podzielne.

Chciałbym nie mieć racji, bardzo
chciałbym, aby moje obawy i przypusz-
czenia okazały się błędne. Daje wszak
do zastanowienia fakt, że uczeni każdej
epoki byli zakochani w swoich nie-
podważalnych prawdach, a tych, którzy
głosili inaczej nawet tylko na podsta-
wie intuicji, palono na stosie lub wy-
śmiewano. Czy nasz świat jest zasadni-
czo inny od świata sprzed tysiąca, pię-
ciuset i dwustu lat? Uważam, że —
nie. Różnica polega na ilości przedmio-
tów, a nie na jakości życia i etyce.
Nie jesteśmy ani bardziej „ludcy”, ani
bardziej szczęśliwi, ani bardziej mo-
ralni. Jesteśmy tacy sami, jacy byliśmy,
mamy w sobie te same ułomności, tę
samą pychę, ten sam brak umiaru. A
jedyna pociecha polega na tym, że w
ostatecznym rachunku umiemy się opa-
miętać lub dokonujemy wynalazku, któ-
ry naprawia uprzednie błędy.

(Fragm. książki pt. „Wyzwa-
nie naturze”, która ukaże się
nakładem KAW w Białymstoku).

Przy pisaniu tego tekstu korzystałem z
następujących książek:
Wacław Gajewski, Piotr Węglewski: Inty-
neria genetyczna. Wydanie trzecie, zmie-
nione, PWN, 1988.

Stefan Kornas: Współczesne eksperymenty
medyczne w ocenie etyki katolickiej. Cre-
stochowska Wydawnictwo Diecezjalne, 1989.
Glanville Williams: Świętość życia a pra-
wo karne; w przekładzie dra Stanisława
Adamowicza, dra Jerzego Babeckiego i Fran-
ciszek Kwiatkowskiej. PZWL, 1980. Przed-
mowa napisał prof. dr Tadeusz Kiełbaso-
wski, a uzupełnienie dotyczące problematyki
lekarskiej w polskim prawie karnym —
prof. dr Jerzy Sawicki.

Wyzwanie naturze (3)

Andrzej W. Pawluczuk

stemu połączeń. Może więc być pobu-
dzony miejscami spaloną (dla zbada-
nia czasu regeneracji tkanek) prądem
elektrycznym pobawioną pewnych e-
lementów, olawioną w innych. O po-
dobnych faktach używania żywych
płodów ludzkich do eksperymentów
naukowych oraz dla przemysłu kosme-
tycznego mówią dwaj Francuzi C.
Jaquinot i J. Delays w książce „Les
trafiquants des bēbēs a naitre” (Han-
dlarze nie narodzonych dziećmi).

Kosmetyki z nie narodzonych dzieci!
Jest to straszne i musi wywołać sprze-
cież każdego normalnego człowieka. A
jednak.. jednak biorąc pod uwagę
wszystkie naturalne odruchy moralne
sprzeciwu na doświadczenie Cham-
berlaina czy te przeprowadzane w
Sztokholmie spojrzeć należy z nieco
innej perspektywy nawet jeżeli stoi-
my na stanowisku świętości i nienaru-
szalności ludzkiego życia w chwili po-
częcia.

Wszystkie cywilizacje posiadały w
sobie elementy okrucieństwa i nie na-
leży sądzić że przyszłość będzie w
tym względzie bardziej „ludzka”. Jak
pisze prof. Julian Aleksandrowicz „re-
latywizm etyczny jest inkorporowany
w naszą świadomość od niepamiętnych
czasów”. Chociaż — oczywiście — trze-
ba się bezwarunkowo podpisać pod ty-
mi wszystkimi działaniami które zmie-
rzała do pozytywne przekształcenia
ludzkiego ethosu. Ale gdyby na przy-
kład Europejczycy (pozostawmy w kre-
gu naszej kultury chrześcijańskiej) u-
mierali się do dzisiaj przy takim po-
szanowaniu człowieka jak rozumiano to
w wiekach X i XI, a więc uznawali
za niedopuszczalne przeprowadzanie
sekcji zwłok umieralibyśmy w XX
wieku z powodu zapalenia wyrostka,
a ogromne rzesze ludzi byłyby kaleka-
mi z powodu drobniaków które usuwa
dziś każdy chirurg w każdej przycho-
dni. Warto też przypomnieć fakt który
wydarzył się w Hamburgu w roku
1522 otwartym na świat i oświeconym
mieście hanzaetyckim Otóż spalono
tam na stosie lekarza który w orze-
braniu kobiecym przywiozł poród.
Było to zastrzeżone jedynie dla kobiet-
akuserek, dlatego występki ten uzna-
no za wykroczenie przeciwko prawom
boskim i ludzkim. Przykład ów dowo-
dzi, że każda tzw. niewzruszona praw-
da narazona jest wcześniej czy póź-
niej na obalenie bez względu na to,
jakie racje etyczne uzasadniała ją w
danej chwili, czy epoce.

Toteż należy sądzić, że to, co dzisiaj
— w imię świętości życia i godności
człowieka — uznajemy za nienaruszal-
ne, kiedyś zostanie obalone. I nie w tej
mierze nie poradzimy ponieważ wska-
zuje na to logika dotychczasowego roz-
woju cywilizacji. Czy przemawia prze-
ze mnie fatalizm? Powiedziałbym ra-
czej, iż zrozumienie ludzkiej natury,
choć z drugiej strony wiem dobrze, że
wszelkie przewidywania przyszłości o-
parta na tym, co było i jest — są zwy-
kle bardzo zawodne.

Ochrona nie narodzonego życia

W każdym razie wydaje się pociesza-
jące, iż przekonanie, że życie człowie-

Te głosy świadczą być może o tym,
że ochrona nie narodzonego życia zy-
skiwac będzie coraz więcej zwolenni-
ków. Za niezwykle doniosły uznać na-
leży w tej mierze głos psychologów
badających życie psychiczne płodu, po-
niważ obala potoczne mniemanie że
człowiek zaczyna czuć rozumieć i rea-
gować na bodźce dopiero po urodzeniu.
A w dzisiejszym świecie argumenty
nauki jeżeli upowszechnia się w spo-
łeczeństwie maia istotniejsze znacze-
nie niż protesty moralne (tak było np.
z ruchami ekologicznymi na całym
świecie swego czasu wśmiewanymi w
Polsce jako zabawa znudzonych, prze-
syconych dobrobytem filistrów)

Wymiar etyczny

Moralny sprzeciw wobec ekspery-
mentów na człowieku jest także nam
potrzebny, a kto wie czy dzisiaj nie
bardziej niż kiedykolwiek w przeszło-
ści. Dzięki stanowisku kościołów chre-
ścijańskich, wybitnych autorytetów
nauki i medycyny oraz milionów ludzi
rozumnych, zachowana jest równowa-
ga między tym co można a czego nie
można. Na traktowanie człowieka jako
przedmiotu eksperymentów nigdy nie
wolno dać zgody chociaż wiadomo,
że owe eksperymenty robi się
dzisiaj i robić będzie w przy-
szłości. Dobrym przykładem jest
powszechny sprzeciw wobec u-
śmiercania nieuleczalnie chorych na
ich żądanie. Mimo powtarzających się
głosów że należy usankcjonować to
ustawą, prawo każdego cywilizowane-
go kraju ścina takie czynz z urzędu.
To prawda karz są niewielkie, wręcz
symboliczne a nawet odstepuje się od
ich wymierzania. Sadze jednak że po-
wszechnie przekonanie, iż życie jest
święte i w żadnym przypadku nie
mamy prawa uśmiercania bliźnich,
stanowi skuteczną zapórę przeciwko
nadużyciom które nie trudno sobie
wyobrazić. Budujący jest również
przykład z naszego polskiego podwór-
ka, gdzie wieloletnie starania ustawa-
dawcy o wprowadzenie przymusowego
leczenia psychiatrycznego napotykały
na zdecydowany i skuteczny (jak do-
tąd) opór społeczeństwa. Przekonanie,
iż każdy człowiek jest w o d m i o t e m,
stanowi wielką zdobycz naszej kultury
i jej zniweczenie przyniosłoby nam
wielce strat niż korzyści.

Przypadek doktora Chamberlaina, o-
pisany przez Stefana Kornasa należy
do tych, z którymi nie wiadomo, co
począć. Łatwo zachowywać bezwzględ-
ną sztywność etyczna zwłaszcza tam,
gdzie nie jesteśmy w stanie jej wog-
zeczować. Cóż mógł jednak lepszego
zrobić dr Chamberlain, także w świa-
tle naszej moralności? Uśmiercić płód?
— byłoby to nie do przyjęcia. Zosta-
wić go i czekać aż umrze? — zanie-
chać ratowania życia jest moralnie
tym samym co zadanie śmierci. Oczy-
wiście: ratować życie należy wtedy,
gdy są ku temu choćby minimalne
szanse. W tym przypadku — szansa ta-
kich nie było. Zachowanie czystego su-
menia za pomocą działań pozornych i
bezsensownych jest najsłabsze, ale
mnie osobiście wydało się także — nie-

wie wielkim krokiem naprzód w rato-
waniu kilkutygodniowych i kilkumie-
siecznych istotek które dzisiaj gina.
Wynalazki same w sobie nie są dobre
ani złe chociaż często sprzeciwiamy
się metodom ich uzyskiwania. Nóż
służy do krojenia ciasta ale można
nim także zabić człowieka. Czy pote-
riamy wynalazce noża? Konstruktor
samochodu broni palnej, samolotu,
rakiet balistycznych?

Można też postawić inne pytanie:
czy dzięki samochodom, coca-coli,
komputerom i lotom kosmicznym
człowiek jest bardziej szczęśliwy niż
tysiąc lat temu? Zapewne nie ponie-
waż o szczęśliwym życiu (przynaj-
mniej dla większości) decydują nie
rzeczy, ale wartości bardziej nieuch-
wyne: miłość, prawda, wolność, a na-
wet tzw. światy spokoi czy cisza za
ścianą. Ale i te rzeczy mogą być poj-
mowane rozmaicie. Osobiście wolał-
bym być szczęśliwy nad brzegiem czy-
stej rzeki niż ścieku. Pokonywanie
przeprzezi sztywnym samochodem jest
nawet przyjemne ale — zauważmy —
madrzy ludzie nigdy się nie spieszą.
Rytm życia ustanowiony przez cy-
wilizację przemysłową dostarcza nam
wiecej przykrości niż radości. Z dru-
giej strony — musimy wiedzieć że jej
powstanie było nieuchronne ponieważ
bez przemyślnego i towarzyszącego mu
niegodności nie oddalibyśmy i nie
wykarmili ludzi, których jest dziś kil-
kakrotnie więcej niż dziesięć wieków
temu.

Nie wynalazek jest więc dobry lub
zły. Moralne bądź niemoralne jest do-
piero jego użycie, ale o tym decydują
już nasze sumienia.

Toteż ci, którzy mówią o zagrożeniach
i przypominają tabu nienaruszalności
ludzkiego życia, mają na pewno rację.
Nie trudno wyobrazić sobie, że wynala-
zek sztucznej macicy może być obro-
ny także przeciwko człowiekowi. Ho-
dowla „sztucznych” ludzi, wyposażo-
nych, dzięki inżynierii genetycznej w
cechy i możliwości, które jeżą włosy na
głowie. Więcej: hodowla hybryd, czyli
krzyżówek człowieka ze zwierzętami.
To również jest realne i będzie chyba
możliwe, jeśli nasza cywilizacja prze-
trwa kolejne tysiąclecie. Zgoda: upadek
ethosu moralnego przybliży raczej, niż
oddala te wszystkie okropności.

Co powoduje mutację genów?

Jest też aspekt zapłodnienia in vitro,
który także zastanawia się nad przyszo-
ścią bardziej uchwytą, tą — która cze-
ka nas może za 20—30 lat. Nie wiąże
się to nawet z inżynierią genetyczną,
bardziej z tym, że nie wiemy dobrze,
jakie czynniki powodują mutację ge-
nów.

Wiadomo na razie, że niektóre sub-
stancje chemiczne i fizyczne wywołują
zmiany w kodzie genetycznym komó-
rek. „Badania epidemiologiczne —
stwierdza prof. Aleksandrowicz — do-
wodzą istnienia koincydencji zachoro-
wań na określonego typu choroby cy-
wilizacyjne z określonymi środowiska-
mi. Nasuwa się przypuszczenie, że
zmiany te wiążą się z odchyleniami w
mineralnym składzie gleby i wody oraz
z rozmaitego stopnia nasileniem zanie-

Wybić się na niepodległość

Eugeniusz Kwiatkowski na Lubelszczyźnie

Janusz Zaręba

WBR. miją 100 lat od urodzin Eugeniusza Kwiatkowskiego, jednego z najwybitniejszych działaczy gospodarczych Polski w obecnym stuleciu. W latach 1926—1930 był on ministrem przemysłu i handlu, później w okresie 1935—1939 — wicepremierem oraz ministrem skarbu, a po II wojnie światowej (1945—48) delegatem rządu do spraw odbudowy Wybrzeża. Jego nazwisko kojarzy się na ogół z takimi wielkimi przedsięwzięciami, jak budowa portu w Gdyni, realizacja Centralnego Okręgu Przemysłowego i wreszcie odbudowa Wybrzeża po zniszczeniach wojennych.

W poniższym szkicu nie będę jednak nawiązywał do tych na ogół już znanych dzieł, jakie pozostawił po sobie ten wybitny pragmatyk gospodarczy. Przedstawię za to stosunkowo mniej znany fragment jego biografii wiążący się z Lublinem i okolicami, gdzie przyszedł minister i wicepremier kształtował dopiero swoje poglądy polityczne oraz stawiał pierwsze kroki zawodowe.

Cofnijmy się więc w czasie do lat poprzedzających wybuch I wojny światowej. Jest rok 1913.

Eugeniusz Kwiatkowski ukończył pomyślnie w wieku 25 lat studia chemiczne rozpoczęte na Politechnice Lwowskiej, a kontynuowane w Monachium na tamtejszej Politechnice i rozglądał się za odpowiednią pracą. Pomógł mu w tych poszukiwaniach jego kolega ze studenckich czasów — Józef Kożuchowski (późniejszy wiceminister przemysłu i handlu oraz skarbu w rządach II Rzeczypospolitej), który zdał już ośmię w Lublinie i świadomie zabiegał o przyłączenie do tego miasta młodej inteligencji z wyższym wykształceniem i o podobnych jak on zapatrywaniach politycznych. Obydwaj byli podczas studiów mocno zaangażowani najpierw w tajnym Związku Młodzieży Polskiej ZET a od 1909 r. w Młodzieżowej Organizacji Niepodległościowej „Zarzewie”, jaka wyłoniła się z ZET na znak protestu przeciw dotychczasowej kuratelii narodowych demokratów i ich ugodowej polityce wobec Rosji.

Gdy w miejscowej prywatnej gazowni Bańkowskiej znalazła się wolna posada inżyniera ruchu, Kwiatkowski bez wahania przyjechał do Lublina, zamieszkał tam wraz ze świeżo poślubioną małżonką Leokadią Glaser. Było to pod koniec października 1913 roku.

A oto co na temat pracy młodego Kwiatkowskiego w lubelskiej gazowni napisał biograf jego młodych lat Janusz Rakowski:

„Była to dla niego dość ciężka, ale i pouczająca szkoła życia i pracy zawodowej. Nie miał wiele czasu na pracę społeczną i polityczną. Wchodził stopniowo w nowe środowisko ludzkie, tak różne od tych, jakie widział w Galicji. Jego zadania w gazowni lubelskiej pozwalały mu jednak na dość szeroki kontakt z wieloma ludźmi różnych sfer społecznych i zawodowych, a nie tylko z ziemianami, z jakimi mieli przeważnie do czynienia jego zarzewiaczy koledzy pracujący w Syndykacie Rolniczym”.

W latach poprzedzających wybuch I wojny światowej Lublin stał się miejscem ożywionej działalności politycznej. Miasto było jednak niemal pozbawione wpływu Narodowej Demokracji (wyjątek stanowiło tylko okoliczne ziemiaństwo) — dominowały tu grupy lewicowe oraz „zarzewiaczy”, sprowadzeni do Lublina przez Kożuchowskiego. Ci ostatni nie byli początkowo zbyt aktywni, do działania pobudził ich dopiero wybuch I wojny światowej latem 1914 r.

Pod wpływem przebiegu działań wojennych wśród wszystkich organizacji konspiracyjnych na ziemiach polskich toczyły się coraz ostrzejsze spory nad tym, którego z zaborców wesprze organizowanymi oddziałami polskimi. Nie ominęły one również grupy „Zarzewia” w Lublinie która po pierwszych sukcesach armii rosyjskiej (zajęcie sporej części Galicji ze Lwowem aż po Przemyśl) zdecydowała się popierać orientację na Rosję. Było to więc zarazem ponowne opowiedzenie się za obóz narodowo-demokratycznym kierowanym przez Romana Dmowskiego.

Podpisu Eugeniusza Kwiatkowskiego pod specjalną deklaracją opracowaną przez jego kolegów, a wyrażającą poparcie dla ruchu endeckiego —

Jednak nie było. W październiku 1914 roku przebywał on jeszcze na urlopie u teściów we Lwowie. Czy podpisałby ten dokument, gdyby wówczas był w Lublinie? Jest to bardzo wątpliwe w świetle późniejszej ewolucji jego poglądów.

Tuż po wybuchu pierwszej wojny we Lwowie rozegrało się wiele ważnych wydarzeń. Przede wszystkim w sierpniu 1914 roku Eugeniusz Kwiatkowski był świadkiem utworzenia Legionu Wschodniego. Patriotyzm nakazał mu oczywiście wziąć bezpośredni udział w pracach organizacyjnych nad utworzeniem tego Legionu.

Legiony — jak wiadomo — miały być formacją wojskową wchodzącą w skład armii austro-węgierskiej walczącej z Rosją. Do ich powstania doszło z inicjatywy polskich stronnictw galicyjskich (popierających tzw. austropolskie rozwiązanie sprawy narodowej) po fiasku pierwszych inicjatyw wojskowo-niepodległościowych Piłsudskiego (nieudana wyprawa oddziałów strzeleckich do Kongresówki tuż po wybuchu wojny).

Zgłaszając się do współpracy przy tworzeniu Legionu Wschodniego, Eugeniusz Kwiatkowski dawał wyraz swoim ówczesnym sympatiom politycznym oraz przekonaniu, że tylko wystąpienia zbrojne mogą przyczynić się do odzyskania niepodległości Polski. Ponieważ nie posiadał on odpowiedniego przeszkolenia wojskowego, został skierowany do pracy w Komisji Kwaterunkowej Legionu Wschodniego.

Jednak wkrótce, na skutek ostrego konfliktu w łonie koalicji austrofilów i wystąpienia z niej endecków galicyjskich, sytuacja zmieniła się diametralnie, Legion Wschodni zostaje rozwiązany. Zwolennikom Dmowskiego jako pretekst do likwidacji Legionu posłużyła formuła przysięgi austriackiej (miał ją składać legionista), która, ich zdaniem, zbyt słabo eksponowała polski charakter tych oddziałów. W istocie powody były poważniejsze. Złożyły się na nie nadzieje Narodowej Demokracji wywołane początkowymi klęskami wojskowymi Austro-Węgier, zajęcie sporej części Galicji przez Rosję, a także naciski ze strony przywódców endeckich paktujących ze stroną rosyjską.

Ponieważ Eugeniusz Kwiatkowski nie został wciągnięty do czynnej służby w Legionie Wschodnim, uniknął w ten sposób rozczarowania i przykrości, jakich doznało ponad 5 tysięcy zwerbowanych młodych ludzi, którzy stali się ofiarą odgórnego rozgrywek politycznych. Cywilna Komisja Kwaterunkowa, w której działał Kwiatkowski, także zostaje rozwiązana, a jemu samemu przyszło zastanowić się, co dalej robić. Rozstrzygnięcie tego dylematu tak opisał Janusz Rakowski, opierając się na nie publikowanych pamiętnikach Eugeniusza Kwiatkowskiego:

„W odróżnieniu od swego starszego kolegi i mentora Józefa Kożuchowskiego, który w tym czasie zezwał ku orientacji „pro-rosyjskiej” Dmowskiego, czy „pro-koalicyjnej”, nie chce on włączyć się z tą orientacją i czekać na organizowane przez Stanisława Grabskiego powitanie wojsk rosyjskich. Ówczesna propaganda endecka we Lwowie nie smakowała mu. Jako pracownik gazowni Bańkowskiej w Lublinie formalnie był we Lwowie „na urlopie”. Uważał o sobie, że najważniejsze zadania polityczne i wojskowe koncentrują się na terenie Kongresówki. Powziął więc decyzję powrotu do Lublina. Być może, że na decyzję tę wpłynęła również sytuacja rodzinna, poślubiona przed rokiem małżonka i bliski dzień narodzin syna”.

Powrót ze Lwowa do Lublina nie był jednak łatwy w sytuacji, gdy trwały działania wojenne pomiędzy Austro-Węgrami a Rosją, pod której zaborem znajdował się Lublin. Kwiatkowski przedostał się najpierw do rodzinnych Czernichowców pod Tarnopolem. Tam udało mu się nawiązać kontakt z Polakami pracującymi w administracji Lublina. W rezultacie, jak pisze Janusz Rakowski:

„Zarząd miejski Lublina skierował do niego list domagający się niezwłocznego powrotu do kierowania gazownią, w owym czasie jedynym centralnym dostawcą energii cieplnej i światła dla miasta. Sytuację gazowni pogarszał fakt, że władze austriackie zatrzymały dyrektora F. Bańkowskiego, obywatela rosyjskiego, bawiącego na urlopie w Czechach. Kwiatkowski „podporządkował się” temu kategorycznemu wezwaniu Zarządu miasta i pokonywując uciążliwą drogę powrócił do Lublina”.

Eugeniusz Kwiatkowski powracał natchniony ideą legionową i pełen uprzedzeń wobec hasel głoszonych przez endecję. Podobnie jak w Galicji tak i tu, w Lublinie, też styka się z rozbięciem społeczności na dwie orientacje polityczne, odmiennie widzące drogę do niepodległości kraju. Organizacja „zarzewiaków”, która ogłosiła podczas jego nieobecności odezwę prorosyjską, prawie już nie istniała — jej członkowie poróżniali się w różne strony świata, gnani wojenną zawieruchą.

Eugeniusz Kwiatkowski, czując potrzebę politycznej aktywności, wchodzi w kontakt z działającymi w konspiracji zetowcami (członkami Związku Młodzieży Polskiej ZET), którzy tu, w Lublinie, starali się zachować niezależność od polityków endeckich. Spośród nich wiąże się najbliższą z inż. Stefanem Dażeńskim. Przy jego dużej pomocy zetowcy uzyskali spory lokal, działający oficjalnie pod szyldem Czytelni Mieszczańskiej, w którym mogli się spotykać i dyskutować. Ale za kilka miesięcy młodzi konspiratorzy nie będą już musieli kryć się ze swoją działalnością. Wkroczenie wojsk austriackich do Lublina, a wraz z nimi legionistów (Legion Zachodni nie został rozwiązany) świadczyło, iż działania wojenne przybrały całkiem inny obrót, niż to początkowo niektórzy przewidywali. Rosianie co prawda jeszcze w marcu 1915 roku zdobyli Przemyśl, ale wkrótce przy pomocy wojsk

niemieckich Austriacy rozpoczęli wielką ofensywę przeciw oddziałom rosyjskim. W czerwcu 1915 roku wyparli je też ze Lwowa. Czynny udział w takim właśnie rozwoju wydarzeń miały też nie rozwiązane oddziały Legionu Zachodniego (pierwsza i druga Brygada).

Te wszystkie fakty wywarły duże wrażenie na Eugeniuszu Kwiatkowskim i zaczęła pomalą dojrzywać w nim decyzja o zaciągnięciu się do Legionów.

Atmosfera polityczna w Lublinie po wejściu Austriaków znajdowała odbicie w decyzjach podejmowanych przez patriotycznie usposobioną młodzież. Janusz Rakowski, który w tym czasie zamieszkiwał w tym mieście, wspomina, iż nastroj był wówczas „wybitnie prolegionowy”. „Młodzi chłopcy zaciągali się do tajnie ćwiczonych oddziałów POW [Polskiej Organizacji Wojskowej, militarnej organizacji założonej przez J. Piłsudskiego w r. 1914 — przyp. J. Z.] starsi wstępowali do Legionów”.

Gdy Kwiatkowski uporał się z fachowymi problemami występującymi w gazowni i mógł ją z czystym sumieniem przekazać w inne ręce, on także wstąpił do Legionów. Stało się to prawdopodobnie w marcu 1916, bowiem jego legitymacja legionowa pochodzi z 3 kwietnia tego roku. Z danych tam zapisanych można się przy okazji dowiedzieć, że nowy legionista był wysokim szatynem, liczył 178 cm wzrostu oraz znał dwa języki obce: niemiecki i angielski.

Na początku służby odbył krótkie przeszkolenie rekrucie, a potem trafił — podobnie jak dwa lata wcześniej we Lwowie — do aparatu werbunkowego, dokładniej: do Krajowego Inspektoratu Zaciągu w Łukowie. Namówił go do pracy u siebie Jan Dąbski, kierujący Inspektoratem z ramienia Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego. Kwiatkowski był już wcześniej zaprzyjaźniony z tym interesującym człowiekiem, wybitnym niepodległościowcem, z przekonania ludowcem, byłym redaktorem „Kuriera Lwowskiego”. Jan Dąbski nie był wprawdzie piłsudczykiem, ale zajmował bardzo trzeźwe stanowisko w sprawie taktyki działania wobec zaborców, wolne od dogmatycznych uprzedzeń. Przy pomocy sprawnego aparatu werbunkowego krzewił on ideę niepodległości wśród chłopów Kongresówki. Było to zadanie bardzo pożyteczne, bo m. in. z powodu bierności tutejszego chłopstwa nie udało się w sierpniu 1914 r. wyprawa Piłsudskiego na ziemię zaboru rosyjskiego i nie wybuchło tam oczekiwane przez niego powstanie.

Kwiatkowski doskonale rozumiał intencje przyjaciela i zajął się propagandą w obwodzie chełmskim — kierował tamtejszym posterunkiem werbunkowym. Dysponując grupą około 20 podoficerów i żołnierzy, w tym wielu doświadczonych w służbie frontowej, szerzył idee niepodległościowe wśród miejscowej ludności. W swojej działalności wykraczał daleko poza wyznaczone mu kompetencje. Przy pomocy grupy miejscowych legionistów oraz spotkanego przypadkowo kolegi ze studiów we Lwowie (Stanisława Sasorskiego, pierwszego redaktora pisma „Zarzewie”) udaje mu się zorganizować wydawanie pisma politycznego „Głos Ziemi Chełmskiej”. Miało ono na celu dokumentować polskość tej ziemi i jej mieszkańców. Nie spodobało się to jednak miejscowemu komendantowi austriackiemu. Zażądał on Kwiatkowskiego do raportu, oświadczając, iż oficerowi legionowemu nie wolno mieszać się do polityki, i przypominając, że jego obowiązkiem jest werbowanie ochotników do armii polskiej u boku Austrii. W wyniku tego raportu Eugeniusza Kwiatkowskiego postanowiono ukarać. Skierowany został na dodatkowe przeszkolenie do 6. pułku piechoty legionowej w Dęblinie, a potem do Zambrowa, gdzie na specjalnym obozie wpajano oficerom legionowym karność i dyscyplinę.

Właśnie pod wpływem tych okoliczności w roku 1916 kończy się 3-letni lubelski epizod w życiu Eugeniusza Kwiatkowskiego. Po odbyciu kary nie może już wrócić na ziemię chełmską. Pracuje nadal niemal do końca wojny w aparacie werbunkowym Legionów (później Polische Wehrmacht), podległym bezpośrednio Władysławowi Sikorskiemu. Kolejnymi miejscami jego służby są od r. 1917 Włocławek oraz Łuków. Wprawdzie na początku 1918 r. jeszcze raz udał się ze specjalną misją na ziemię chełmską, ale był to już krótki pobyt służbowy.

Właśnie wówczas Eugeniusz Kwiatkowski miał możliwość wykazać się pewnym wkładem pracy na rzecz Departamentu Wojskowego podczas wykonywania rozkazu ówczesnego pułkownika Władysława Sikorskiego. Ten, dowiedziawszy się o poprzedniej aktywności Kwiatkowskiego w Chełmie, polecił mu, aby się tam udał w celu zorganizowania możliwie silnego protestu przeciw próbom odczerpania ziemi chełmskiej od polskich terytoriów. Niemcy podpisali właśnie z Ukraińcami traktat w Brześciu i zachodziła realna obawa, iż ziemię tę zajmą wojska ukraińskie.

„Po przekonaniu się — pisze Janusz Rakowski — że społeczeństwo ziemi chełmskiej nie było bezczynne (akcja obrony prowadzona była energicznie przez wybitnego zetowca Wiktora Ambroziwicza [...] przez POW) Kwiatkowski złożył odpowiednie sprawozdanie i powrócił do Łukowa”.

Mimo zakończenia I wojny światowej i urzeczywistnienia się wielkiego marzenia o niepodległej Polsce Eugeniusz Kwiatkowski pełnił będzie służbę w wojsku aż do 1921 r. Dopiero wtedy przejdzie do pracy w gospodarce i znacznie odład wspiął się błyskawicznie po szczeblach cywilnej kariery, jakby dopiero tu odnajdując swoje powołanie.

Adam i Ewa

Michał Bulhakow

Sztukę tę napisał Bulhakow w roku 1931, ale doczekała się druku dopiero po 56 latach — w miesięczniku „Oktiabr” (1987, nr 6). Ma ona charakter science fiction i mówi o zagładzie świata w skutek wojny chemicznej. Akt I, z którego pochodzi publikowany poniżej fragment, rozgrywa się w Leningradzie bezpośrednio przed wybuchem wojny. W mieszkaniu znajdują się Adam i Ewa, niedawno zaślubieni młodzi ludzie, oraz Jefrosimow, profesor-chemik. Rozmawiają. Za oknem wyje ples.

JEFROSIMOW (zaniepokoiony) Czemu ten ples wyje? Hm... Ewa, czym się pani zajmuje?

EWA Ewa Artiemjewna. Studiuję języki obce.

JEFROSIMOW Adam, a pan?

ADAM Adam Nikołajewicz. Jestem inżynierem.

JEFROSIMOW Podajcie mi jakiś prosty wzór chemiczny. No, na przykład wzór chloroformu.

ADAM Chloroformu? Chloroformu. Ewa, nie pamiętasz wzoru chloroformu?

EWA Nigdy go nie znalazłam!

ADAM Widzi pan, specjalizuję się w budowie mostów...

JEFROSIMOW A, teraz to bzdura... Bzdurne są teraz te metody. Niech pan je rzuci! Komu dziś przyjdzie do głowy myśleć o jakichś tam mostach? To śmieszne, doprawdy... No, straci pan dwa lata na budowę mostu, a ja się podejmuję wysadzić go

w powietrze w trzy minuty. No i po co tracić czas i budulec? Uf, jak jest duszno. I nie wiadomo, dlaczego wyja psy! Wicie, przesiedziałem dwa miesiące w laboratorium i dzisiaj po raz pierwszy wyszedłem na powietrze. Dlatego jestem taki dziwny i zacząłem zapominać najprostszych słów. (Śmieje się). No, ale jestem kimś w Europie. Adamie Nikołajewiczu, czy zastanawia się pan nad tym, że będzie wojna?

ADAM Oczywiście, zastanawiam się. Wojna jest bardzo prawdopodobna, ponieważ świat kapitalistyczny przepełniony jest nienawiścią do socjalizmu.

JEFROSIMOW Świat kapitalistyczny przepełniony jest nienawiścią do socjalistycznego świata, a świat socjalistyczny przepełniony nienawiścią do kapitalistycznego. drogi konstruktorze mostów, a wzór chloroformu to $CHCl_3$! Wojna będzie dlatego, że dzisiaj jest parno! Będzie dlatego że każdego dnia w tramwaju mówią mi: „Widzicie go, kapeluszy włożył!” Będzie dlatego, że kiedy czyta się gazety, włosy stają dęba na głowie (wyjmuje z kieszeni dwie gazety) i wydaje się, że widzisz koszar. Co tu napisano? „Kapitalizm trzeba zniszczyć”. Tak? A tam? (Wskazuje gdzieś w dal). A tam co? „Komunizm trzeba zniszczyć”. Koszar! Zabito Murzyna na krześle elektrycznym. Całkiem w innym miejscu, diabli wiedzą gdzie, w prowincji bombajskiej, ktoś tam przeciął druty telegraficzne; w Jugosławii

wykonano wyroki śmierci, w Hiszpanii strzelano, strzelano w Berlinie. Jutro będzie się strzelać w Pensyiwanii. To sen! I dziewczęta z karabinami, dziewczęta! — codziennie idą ulicą pod moimi oknami i śpiewają: „Karabinku, bij, bij, bij... wal burżujów, głośno grzmij!” Każdego dnia. Pod kołem płomieni, pęcherzyki chodzą po powierzchni wody. Jakiż jeszcze, jakiż ślepiec mógłby domyślić, że woda w kotle nie zawrze?

ADAM Przepraszam, profesorze, bardzo przepraszam! Murzyn to jedno, a karabinku, bij — to tak właśnie należy. Pan, profesorze Jefrosimow, nie może być przeciwko tej pieśni!

JEFROSIMOW Nie, jestem w ogóle przeciwny śpiewaniu na ulicach.

ADAM He... he... he... A jednak! Będzie straszny wybuch, ale to ostatni, oczyszczający wybuch, ponieważ po stronie ZSRR jest ogromna idea.

JEFROSIMOW Bardzo możliwe, że to ogromna idea, ale rzecz w tym, że na świecie są ludzie z inną ideą, a ich idea polega na tym, aby was zniszczyć razem z waszą ideą.

ADAM No, to jeszcze zobaczymy!

JEFROSIMOW Bardzo się boję, że będzie wielu, którym niczego nie uda się zobaczyć! Wszystko zależy od staruszków!

ADAM Jakich znowu staruszków?

JEFROSIMOW (tajemniczo) Czyściłcy staruszkowie, chodzą sobie w cylindrach... W gruncie rzeczy staruszkom obojętna jest jakakolwiek idea, z wyjątkiem jednej — żeby gospodyni o czasie podawała kawę. Nie są wybredni! Jeden z nich siedział sobie, wicie, w laboratorium i nie powodowany niczym oprócz chłopczej ciekawości zajmował się głupstwami: namieszał w kolbie różnych związków, o, właśnie w rodzaju tegoż chloroformu, Adamie Nikołajewiczu, kwasu siarkowego i tak dalej — i zaczął podgrzewać, żeby zobaczyć, co z tego wyjdzie. Wyszedł z tego akurat to, że nie zdążył jeszcze dopić swojej kawy, a już tysiące ludzi leży pokotem na polach, potem zsiniali ci ludzie jak śliwki, a później wywieziono ich wszystkich ciężarówkami i zwalono do dołu. A co naiekawszce, byli to wszystkie młodzi ludzie, Adamie Nikołajewiczu, i absolutnie nie wyznający jakiegokolwiek idei. Boję się wszelkich idei! Każda z nich jest dobra sama w sobie, ale tylko dopóty, dopóki staruszek profesor nie wyposaży jej

„Czy jestem oportunistą?”

Rozmowa z Krzysztofem Gąsiorowskim

— Siedząc biografie wybitnych pisarzy, można zauważyć, że wywodzą się oni najczęściej z zagubionych, głęboko wetkniętych w odizolowane wioski i małych, prowincjonalnych miast. To, że stali się pisarzami, można motywować zapłodnieniem ich wyobraźni przez nieskazitelną naturę... Czy zgadza się pan ze mną?

— To złudzenie, które ożywia nadal sielski charakter polskiej kultury popularnej. Wielu wybitnych pisarzy wywodzi się z wielkich miast. Na przykład Białoszewski, Gąsiorowski, cały „Skamander”. Kryje się jednak w pańskim uogólnieniu rzeczywisty problem. Ale to nie o „naturę” chodzi, ani też o prowincję, ale o coś w rodzaju „małej ojczyzny”. O swoiście uporządkowane kulturowo środowisko, pozwalające wywalać i zachować poczucie tożsamości w rozpoznawalnym krajobrazie i wśród ludzi o rozpoznawalnych twarzach i losach. Tymczasem wielkie miasto w jakimś sensie „zjada” ludzi. W wielkim i ruchomym skupisku zachodzi tak wiele interakcji, że człowiek rozprasza się i zatracą wobec siebie. Roztrwania swoją wewnętrzną samotność, która jest twórcy niezbędna, na samotność wśród samotnych. Poza tym wielkie miasto niszczy tradycję i stałe systemy wartości. To dlatego Piłsudski przyrównał Polskę do pustego w środku obwarzanka, a Miłosz w Warszawie, tej przywilejskiej stolicy, odmówił swoistości kulturowej.

Być może jednak najważniejszym problemem współczesnego człowieka, a więc i literatury współczesnej, jest problem anonimowości, ztrata podmiotu — samego siebie. Problem dającego się wymienić na kogokolwiek — everyman — tragiczna utrata poczucia własnej niezastępowalności, nawet wobec własnego życia i własnej śmierci. Literatura usiłuje wyrwać się z tego piękna niemożliwości, wyrwać dosłownie za wszelką cenę, cenę estetyki, a nawet etyki: oto bunt Raskolnikowa, jednego z pierwszych wielkich Anonimów, oto dramat Norwida po powrocie z nie zauważonej w tłumie ucieczki z Ameryki. Być może „na prowincji” tego dramatu „odczłowieczenia”

nie przeżywa się tak silnie i łatwiej daje się on opanować w „rzeczy człowieczej”. To jednak nie rozstrzyga problemu, ale jakby go oddala. Chyba istnieje także wielka sztuka „samotnego tłumy”. Owa antyszuka: Beckett, Różewicz. Cały topos wygnania.

— Jak to się stało, że pan, rodowity warszawianin, został poetą?

— Moja rodzina jest związana z Warszawą zaledwie sto lat. Po upadku Powstania Styczniowego los rzucił ją do miasta, przez Łowicz i Nowy Dwór do Warszawy. Dziadek już był robotnikiem, pracował w fabryce firanek. Ja urodziłem się na Kamionku, na skraju przedmieścia warszawskiego tuż za rogatką. Mój dom rodzinny stoi przy ulicy Grochowskiej, parę przystanków tramwajowych od słynnej kuźni, którą opisał Białoszewski. Była to czynszowa kamieniczka, którą zamieszkiwali ludzie najrozmaitszych zawodów i zapatrywań. Gdybym był prozakiem i opisał te kamienicę pokój po pokoju, piętro po piętrze, wyszłaby z tego saga. Mieszkali tam ludzie najprzeróżniejsi dla jednych ten dom był społecznym awansem, dla innych dowodem upadku. Ich zróżnicowaniu społecznemu towarzyszyła wielość postaw światopoglądowych i politycznych. Za ścianą mieszkała wielodzietna rodzina: jeden syn poszedł do organizacji Todta, drugi działał w podziemiu AK-owskim, trzeci zginął w Bieszczadach jako żołnierz KBW, czwarty został dzieckiem pułku u Kołuszki. Jednym z mieszkańców był policjantem, matką i siostrą brat matki walczył w Hiszpanii, córka wyszła za dostojnika partyjnego, wnuczka wyjechała do Szwecji itd. Kamionek był konglomeratem najosobliwszych indywidualności. Tworzył kocioł, w którym kłębiły się sprzeczności i kontrasty. Nie mieszkałem w Warszawie mieszczańskie, u stabilizowane, nobliwej, jestem zakorzeniony w młazdze ludzkiej, ale nie była to anonimowa miazga osiedla. Ci wszyscy ludzie mieli swoje losy i ja je znałem.

O swojej małej ojczyźnie, jaką stanowi dla mnie Kamionek, a ściślej „podwórko czasu wojny”, napisałem poemat „Pierwszy świat mniejszy od świata bez mnie”. Kiedyś myślałem, że u-

dało mi się stamtąd uciec, fizycznie i duchowo. Tak się nie stało. Przed trzydziestu laty wyrwałem się do wielkiej Warszawy, do „wielkiego świata”, ale tamten świat mnie dogonił. Snam i wierszami wciąż błądzą po Kamionku. Ten powrót trochę mnie przeraził. Może to jednak świadczy o odnalezieniu tożsamości? Większość moich wierszy, jak to stwierdziłem niedawno, można umiejscowić w Warszawie.



— Czy już wtedy, w dzieciństwie, pisał pan wiersze?

— Dużo czytałem. Ale zacząłem pisać, gdy miałem dwadzieścia parę lat. Wydawało mi się, że będę „normalnym człowiekiem”: studiowałem na politechnice i zapowiadałem się na niezłego elektronika. Nie miałem kłopotów z matematyką. Miałem kłopoty ze sobą. Pewnego razu zaprojektowałem wraz z kolegą piec do chleba. Zarobiliśmy trochę pieniędzy i pojechaliśmy na wczasy do Międzyzdrojów. Byłem młody, zakochałem się w dziewczynie ze Szczecina. Po powrocie do domu pisałem do niej listy, obficie cytując

modnego wówczas, świeżo rehabilitowanego Gąsiorowskiego. Któregoś dnia nie miałem książki pod ręką i zacząłem improwizować. Usłyszałem echo! To było tak, jakby ktoś pukał w klawiaturę na pianinie i nagle ułożyła mu się melodia. Wydawało mi się, że to jest coś, co mnie ocala przed sobą. Z tego okresu zostało mi przekonanie, że poezja to przygoda egzystencjalna.

— Zadebiutował pan w prasie w 1960 r. W następnym roku powstała Orientacja. Poetycka „Hybryda”, która odznaczała się swoim programem od pokolenia pisarzy debiutujących w 1950 r. Czy pan motywuje potrzebę wyodrębnienia się „Hybrydy” jako osobnej generacji?

— Myślę, że istniały dość zasadnicze powody, różniące Orientację od nieco starszych koleżków. Jeden z nich miał charakter historyczno-polityczny. Nikt z Orientacji „Hybrydy” nie posiadał zetempowsko-stalinowskiej przeszłości, czyli nikt nie dźwigał balastu, który tak tyranizował starszych, aby dokonywać rozrachunku z kulturą czy ze sobą. „Współczesność” prowadziła walkę artystyczną i duchową tylko z socrealizmem. Swoje ekspresje bezpośrednio odnosiła do pięciu lat poprzednich. Na przykład ówczesny leader, Drozdowski, odwrócił perspektywę wiersza z tłumem na jednostkę, marzenie bezinteresowne Harasymowicza sprzeciwiało się „produkcji miast”, brzydota Grochowska stanowiła polemikę z fasadowością lat pięćdziesiątych itp. Ta kontrakcja była dla nas gwałtownie niewystarczająca. Nasz historyczny horyzont literacki poprzez już rehabilitowaną Awangardę docierał do metafizyki modernizmu. Drugi czynnik odmienności Orientacji miał swe zakorzenie w kulturze. Początek lat sześćdziesiątych był okresem prawdziwej eksplozji przekładów. Jak grad spadły na nas książki wielkich nieobecnych: Rilke, Valery, Eliot, Eluard, Micheaux. Już nie mieliśmy jednego mistrza czy jednego przeciwnika, ale wielu. Zwalnia się na nas cała Europa, cały wiek dwudziesty. Mamy realizm nie wystarczył, trzeba było sięgnąć do innych poetyk. Wychowani, powiódzmy, na Kubiaku, odkrywaliśmy nagle Malarmego. To była przepaść. Krytyka, cała polonistyka, odrabiała straty, wyrządzone przez wojnę i czasy stalinowskie nawiązuje do szkoły Jakobsonowskiej (Jakobson, Mukafovsky). Przywracała ciągłość myśli, ale już w chwili poczucia — myśli tradycyjnej i niewystarczającej. Przywracała należne miejsce awangardzie, która była dla nas najlepszą szkołą troski o formę, ale też była już historią, choć historią konieczną i najlepszą. Brakowało kłucza do naszych doświadczeń. W końcu



Rys. Antoni Chodorowski

technicznie. Wy — ideami, a uczoney — arsenikiem, dla ich uzupełnienia.

EWA (smętnie pod lampą) Boję się. Otrują cię, a jesteś mój, Adam!

ADAM Nie bój się, nie się nie bój. Włożę maskę przeciwigazową i przyjmijemy ich jak należy!

JEFROSIMOW Z takim samym skutkiem może pan nałożyć kapelusz na twarz! O, miły inżynierze!

Jest tylko jedno przerażające słowo i jest to słowo „super”. Mogę sobie wyobrazić idiotę w pokoju, człowieka, nawet bohatera! Ale superidiotę? Jak on wygląda? W jaki sposób pije herbatę? Co on właściwie robi? A superbohater? Nie rozumiem! Brak mi wyobraźni! Cały problem w tym, czym zapachnie. Jakby się nie starał starszek, zawsze czymś pachniało. A to musztarda, a to migdałami, a to zgnięta kapusta, i wreszcie zapachniało delikatnym geranium. Był to złowieszczy zapach przyjaciela, ale to jeszcze nie „super”. „Super” będzie wtedy, kiedy niczym w laboratorium nie zapachnie, nie zagrzmie też, ale szybko zadziała. Wówczas starszek postawi na próżnowo czarny krzyżyk żeby mu się nie pomyliło, i powie: „Zrobiłem, co umiałem. Reszta, to już wasza sprawa”. Stuknijcie się idea z idea! (Szeptem) Tak więc, Adamie Nikolajewiczu, niczym już nie pachnie, nie wybucha i działa bardzo szybko.

EWA Nie chcę umierać! Co robić?
JEFROSIMOW Pod ziemią! W dół! Do piekła, Ewo, prarodzicielko! Zamiasz budować mosty, wykopujcie miasto podziemne i uciekajcie w dół!

EWA Nie chcę niczego takiego! Adam, jedźmy co prędzej na Zielony Przylądek!

JEFROSIMOW O moje dziecko! Zdenerwowałem panią? No już, proszę się uspokoić. Proszę zapomnieć o wszystkim, co tu mówiłem: wojny nie będzie. A oto dlaczego — znajdzie się w końcu taki, który powie: Jeżeli nie można już powstrzymać potoku idei, ogarniających, nawiasem mówiąc, także i Adama Nikolajewicza, to trzeba okiełznać starszków. Tylko, że nie ma co latać za nim w masce przeciwigazowej! Trzeba czegoś radykalniejszego. Popatrzcie (nakłada jedną dłoń na drugą) — oto komórka ciała... Teraz (zaciśnięcie palce) — co się stało? To ta sama komórka co poprzednio, tylko szpary pomiędzy jej cząsteczkami znikły, a przez te szpary Adamie Nikolajewiczu, właśnie przedostawał się starszek. To niezrozumiałe? Spokojnie! Jedźcie na Zielony Przylądek! Błogosławie was, Adamie i Ewo!

(W drzwiach bezgłośnie staje DARAGAN. Ubrany na czarno, całą pierś zajmuje wyszyty na srebrno płak z rozłożonymi skrzydłami).

Jeżeli ktokolwiek znajdzie sposób na takie właśnie zaciśnięcie palców, to nie dojdzie do wojny chemicznej, Adamie Nikolajewiczu, a w związku z tym

nie dojdzie do żadnej wojny w ogóle. Problem należy na tym, komu tu przekazać taki wynalazek...

DARAGAN (nieoczekiwanie) Bardzo łatwo rozstrzygnąć ten problem, profesorze. Wynalazek taki należy bezzwłocznie przekazać Rewolucyjnej Radzie Wojennej Republiki.

ADAM O! Daragan! Poznajcie się: Andriej Daragan.

DARAGAN Znam profesora. Bardzo mi przyjemnie.

ADAM No widzisz, Daragan. Przyznaje się — zarejestrowaliśmy się dzisiaj z Ewą.

DARAGAN I to też wiem. No cóż, gratuluje. Ewa. Przeprowadzisz się do nas? Będziemy sąsiadami. Słuchałem pańskiego wykładu, profesorze. Dla naszych dowódców. „Chwytnie trucizn bojowych”. Wspaniale!

JEFROSIMOW Ach tak, tak! Zresztą... Cóż to za „chwytnie”, a czy one dadzą się schwycić?

DARAGAN To świetnie, że w republice ludzi pracy są tak olbrzymie siły naukowe jak pan.

JEFROSIMOW Bardzo dziękuję. A pan czym raczy się zajmować?

DARAGAN No, ja, cóż? Służę republice jako dowódca eskadry myśliwców.

JEFROSIMOW Ach tak, tak...

DARAGAN Profesorze, mówił pan przed chwilą, że możliwy byłby wynalazek, uniemożliwiający wojnę chemiczną?

JEFROSIMOW Tak.

DARAGAN To wstrząsające. Pytał pan nawet, gdzie go przekazać?

JEFROSIMOW (marszczy się) Tak, tak. Dreczy mnie ten problem. Sądzę, że aby uratować ludzkość przed nieszczęściem, należałoby przekazać taki wynalazek wszystkim krajom równocześnie.

DARAGAN (szarżeje) Co? (pausa) Wszystkim krajom? Profesorze, co pan mówi? Przekazać krajom kapitalistycznym wynalazek wyjątkowej wagi z wojkowego punktu widzenia?

JEFROSIMOW No, a jak należałoby postąpić, według pana?

DARAGAN Jestem wstrząśnięty. Według mnie... Proszę wybaczyć, profesorze, ale nie radziłbym nawet mówić nigdzie o czymś takim... Doprawdy...

Tłumaczył: Andrzej Bień

Młodziakowie z „Ferdynandem”, mimo że stał się artystyczną rewelacją, był to socjologiczny anachronizm. Stanu naszej świadomości nie mogła wyjaśnić neopozytywistyczna krytyka, dopiero potem, gdy ukazały się dzieła Otta, Junga, Elladego, Ricceura, przedstawicielki hermeneutyki okazało się, że poezja, którą tworzyliśmy, da się objaśnić właśnie tylko najnowszymi metodami badawczymi, a w okresie naszego debiutu poloniści jeszcze tego nie znali. Rozminęliśmy się z krytyką i Orientacja przegrała, gdyż nie zgodziła się uczynić swoim bohaterem lirycznym modnego wówczas „wydrążonego człowieka” i nie zrezygnowała z pościgu za sacrum!

Nie zamierzam bronić Orientacji. Jako grupa trwała zaledwie trzy lata, ale proszę zauważyć: czy to nie fenomenalne, aby mały zespół osób przez dwadzieścia lat był atakowany i nieustannie bezszlany? Musiało coś być w jego programie niepokojącego, co spędzało innym sen z oczu. Pomawiano nas o niejasność, mętność estetyzowanie itd., a przede wszystkim nie rozumiano. Nieszczęściem był brak własnego pisma. Małe i efemeryczne tygodniówki: „Widzenia” czy „Orientacje”, wychodzące pod auspicjami ZSP, nie umożliwiały nam pełnego wypowiedzenia się. One funkcjonowały dzięki szaleństwu i wadom Jurka Leszina, nigdy jednak nie pozwalały nam na pełną swobodę wypowiedzi. Polityczną porażką tej grupy była odmowa przyznania jej rangi „pokolenia”, swoistości doświadczenia historycznego. Czy pan zdaje sobie z tego sprawę, że należą do chyba jedynej literackiej grupy rówieśniczej, która nie ma historycznego alibi dla swoich błędów?

— Pan i pański rówieśnicy stworzyli pewien alfabet ontologiczny: drzewa, rzeki, deszcze, ryby, ptaki, kamienie, morza, lustra. Symbolika tych znaków mitologicznych zrywała z dotychczasowym, incydentalnym znaczeniem, ustępując na rzecz pewnej uniwersalności sytuacji. Czy popadniecie w niewolę mitu nie było ograniczeniem dla „czystości” wewnętrznej skomplikowania podmiotu lirycznego wierszy?

— Szukaliśmy punktu oparcia w tym chaotycznym świecie półprawd, nowomowy etc. Ja i moi rówieśnicy zorientowaliśmy się, że nasze doświadczenie wewnętrzne nie daje się rozłożyć na konkret, nie pozwala się sprowadzić do znaczeń prostych, że jeśli istnieje szansa „oczywistości”, kryje się ona we „wnętrzu świata”, w mowie obrazów pierwotnych. Tu kategorie racjonalności są niewystarczające, a metafora jest podstawowym doświadczeniem poetyckim i ona dopiero przekracza potoczna prawdę. Operowanie „ludem” symboli

było zatem próbą przekroczenia nylkiej codzienności: powierzchowności, naskórkowości. Naszym największym przeciwnikiem poetyckim był Różewicz, jego aksjologiczny czy ontologiczny redukcjonizm, sprowadzający człowieka do przedmiotu. Podjęliśmy próbę zbudowania syntezy i szukaliśmy większej metafory ludzkiego losu, która z konieczności musiała objąć sfery podświadomości, symbolu, archetypu. Poprzez stosowanie symboliki odcinaliśmy się od sztuki realistycznej, incydentalnej, nominalistycznej.

Od powstania moich pierwszych wierszy minęło sporo lat, a ja ciągle traktuję sztukę jako jedno z podstawowych działań ontologicznych człowieka. Moje widzenie świata nie da się sprowadzić do zdarzeń nagich faktów, przedmiotów. Pragnę ogarnąć swoim doświadczeniem całą kosmogoniczną, egzystencjalną perspektywę człowieka. W latach osiemdziesiątych, wśród tylu prawd i racji, dziejących się naraz, wydawało mi się, że dopiero „z punktu widzenia UFO” nasze życie pozwoli się zobaczyć jako coś sensownego i tak zatytułowałem swój ostatni tomik.

— Czy pana rozumienie poezji jako jedynej formy szczerości i otwartości nie jest symptomem nikłych wymogów, stawianych naszemu życiu społecznemu czy nawet politycznemu? To pytanie bezpośrednio wynika ze słów, napisanych przez pana do „Wyboru poezji” z 1984 r.: „W naszym straszliwym wieku, w tej erze podejrliwości, w której kryzys znaczeń i kryzys wartości są już nie tylko faktem, ale zasadą świadomości indywidualnej i zbiorowej, być może właśnie dopiero w wierszu, w jego syntetycznej lirycznej formie, można sprawdzić słowa, uczucia i myśli, odsonić i ustanowić ich realny kształt i kres ich znaczeń i sensów tak, aby potem już w realnych rzeczywistościach postać jak nunkt owarciu”.

— Nie sądzę, aby poezja mogła pełnić funkcje użytkowe, propagandowe, polityczne. Biada krajowi, który ją do tego używa lub musi używać. Tak — w XIX wieku Polacy niemal niczego poza poezją nie mieli. Poezja niczego nie zastępuje, ani polityki, ani etyki, ani logiki — ona je jedynie może uzupełnić. Tak jak milczenie uzupełnia słowa. Milczenie to cisza z sensem. Poezja powinna stworzyć słowem i wyobrażeniem jakiejś językowej oparcia. Wywołać takie „sytuacje liryczne”, w których słowa ustają swój kształt i zakres prawdy i sensu.

Martwi mnie nikły rezonans najnowszej poezji. W ostatnich latach nie toczyła się żadna poważna polemika poetycka. Klóćmy się o prozę młodych nazwisk, na poezję mało kto zwraca uwagę. Zagłuszyliśmy dyskusję o Miłoszu, a przecież to poeta kontrowersyjny. Pojawiało się sporo ciekawych młodych poetów: Brakoniecki, Musiał, Jurewicz,

Kowalski, już nie będę wymieniał więcej, a krytyka milczy. Dałszy się wypchnąć politykom, dziennikarzom, prozaikom. Pytania o sens podstawowy człowieka, jakie stawia poezja, dziś są niepotrzebne? Co się stało, że poezja w latach osiemdziesiątych usunęła się z życia publicznego? Nie umiem odpowiedzieć, ale to nazbyt odrywa nas od polskiej tradycji.

— Od lat, jak pamięcią sięgam, należał pan do różnych zespołów redakcyjnych, najpierw „Współczesności”, później „Literatury”, a potem „Poezji”. W „Poezji” zmienili się na czelny, a pan pozostał „na stołm”. Czy ta umiejętność dostosowywania się do zmieniających okoliczności nie świadczy o pana oportunistycznym lub inaczej mówiąc, o zdolnościach taktycznego rozgrywania rozdanych kartami?

— Czy jestem oportunistą? Może. W każdym razie do trzydziestego piątego roku życia próbowałem zachować jednorodny, młodzieńczy, pozbawiony nierozwiązalnych sprzeczności obraz swojego świata. Pan sobie wyobraża, ile to nas kosztowało. Pożyczaliśmy pieniądze na papierosy, żywiły nas panienki z akademika, a my byliśmy ponad wszystko, niezłomni i gniewni. Lata mijały, ci starsi — niezłomni zdobywali posady, sławę, a my byliśmy nadal chłopcami w młodoliterackim getcie. Ja, Jerzyzna, Zernicki, Górzański, Markiewicz — świetni poeci. Dziesięć głodnych lat walczyliśmy o swoje publiczne miejsce nie tylko z politykami, ale i z zadowolonym z siebie całym establishmentem literackim.

Mając trzydzieści pięć lat, podjąłem pracę na pół etatu we „Współczesności”. W tym czasie, kiedy znalazłem się w tym piśmie, nie było to już pismo programowe. To była „Współczesność” Lenartowska, ponadpokoleniowa. Pan wybaczy, ale musiałem gdzieś pracować, jeść z czegoś żyć. W tej Lenartowskiej „Współczesności” właściwie wiodło mi się nie najgorzej, tyle że miejca na działalność programową tam dla mnie nie było. Nadal wydawali mi się „jednodniówkami” „Post scriptum”, „U progu wyboru”, za każdym razem pod warunkiem, że to nasza ostatnia wspólna publikacja. Prowadziłem we „Współczesności” dział poezji i to chyba sensownie, bo żaden poważniejszy debiutant lat sześćdziesiątych nie ominął jej.

Kiedy „Współczesność” została rozwiązana, znalazłem się w zespole „Literatury”. Tam przeszedłem — szkołę. Prowadziłem dział poezji, ale żeby drukować młodych, musiałem używać fortełi. Namawiałem poetów, żeby pisali na mnie listy skarżące. Kiedy zastępca redaktora naczelnego zwołał mnie z tzw. obowiązkami i publicznie zobowiązał do pisania tekstów krytycznych,

Napisałem kilka artykułów i zostały dobrze ocenione przez kolegium. Za każdym razem, gdy dopominałem się druku, okazywało się, że jednak nie mieszczą się w kompozycji numeru. Zaszedłem kiedyś do Klubu Dziennikarzy i wdalem się przy barze w rozmowę z kimś, kto pracował z Wydziałem Prasy KC. Dowiedziałem się, że ów zastępca naczelnego skarży się, iż dostawałem w redakcji stypendium, gdyż co widać, niczego nie piszę. Po dziś dzień jestem pełen podziwu dla pana G.G.!

Potem przeszedłem do Drozdowskiego, do „Poezji”, i niemal jestem dumny, że z nim tyle lat wytrzymałem, gdyż charakterologicznie jest to bardzo trudny człowiek. Teraz, jak pan wie, pracuję z Markiem Wawrzkiwiczem, należymy do tej samej generacji i rozumiemy się w pół słowa.

Tak, w pewnym sensie jestem oportunistą. Tak się złożyło, że za mojego życia publicznego nie pojawiła się taka koncepcja literatury, życia duchowego, z którymi mógłbym się związać w sposób kategoriyczny. Za czasów Orientacji broniłem swojej niezłomności, ale potem nie mogłem być do końca nieustępliwym, nie jestem tak do końca „kaskaderem literatury”. Zresztą uważam, że literatura jest po stronie życia. I biada krajowi, w którym jedynym argumentem jest klęska i nieszczęście. Nie wiem, czego mi brakło: talentu, odwagi czy siły, dość że nie mogłem obronić własnej koncepcji świata tak, aby ona narzuciła swój wzorzec innym.

Co mi można zarzucić? Ze wobec wielu zdarzeń nie zajmuję zdecydowanego stanowiska? Jeśli tak się dzieje, to dlatego, że w tych pozycjach publicznych, które się pojawiają, ja się nie mieszczę. Ze przyjąłem prezesurę Oddziału Warszawskiego ZLP? Dla pisarzy zawieszenie związku było prawdziwym nieszczęściem. Podjąłem się funkcji zwązkowe, aby nie dopuścić do dalszego rozpadu środowiska. W jakiejś mierze udało mi się to, choć czasy są bardzo trudne i spodziewałem się, że będę bardziej pożyteczny. Ja nadal mam poczucie powinności obywatelskiej, wychowywałem się na Żeromskim. Poza tym jestem mężem i ojcem. Nawet przy pewnej niewygodzie moralnej, muszę bronić racji ogólnych. Zresztą, wie pan, w tym cholernym wieku tylko poczucie niewygodności moralnej wydało mi się być szansą prawdy, ścieżką sensu.

Rozmawiał: Stanisław Stanik

najbardziej amerykańskiego pisarza spośród Amerykanów — podstawiliem kiedyś polskie nazwiska, powiedziano mi, że te utwory napisał Słowianin". Amerykańskość Kosińskiego, nawet gdyby nie była powierzchowna, nie zabralaby z jego osobistego image'u. Bowiem nawet tam, w Ameryce zawsze byli obok Miłosz i Isaac Bashevis Singer i Halina Poświatowska i Maria Kuncewiczowa.

Za język swego piarstwa przybrał sobie Kosiński angielski. „Moje psychiczne otwarcie, moje nastawienie na wrażliwość dokonuje się właśnie w tym języku. Trudno to wyjaśnić, choć to najszersza prawda". I tam, w jego książkach ów duch amerykański jest już silniejszy. Niech nie oczekują polscy odbiorcy prozy łatwej i pełnej bezpośrednich odniesień. Jest w niej pokrewny nam duchowy klimat, ale nie ma w niej wielu naszych grzechów. Bardzo to realistyczne, odarte z werbalnych sentymentalizmów, graniczące z naturalizmem. Brak w książkach Kosińskiego patriotyzmu. Ale to nie zarzut. To właśnie kolejne pogłębienie. Właśnie ono steruje ową nadrzędnością wizji.

Jerzy Kosiński nie był patetyczny ani rozedrgany, uduchowiony ani euforyczny. Choć może miałby do tego prawo. Jerzy Kosiński był naturalny. Z niezwykłą siłą potrafił przykuć uwagę. Może z tej naturalnej głębi wynika właśnie przekonanie, że Jerzy Kosiński to zjawisko. Nie mam wszakże wątpliwości, że i tu, w Lublinie, Jerzy Kosiński wzmocnił się o uczucie. Uczucie, które przechowuje w sobie i w swoich książkach jak relikwie. Uczucie, które wynosi się tylko z pewnego szczególnego zakątka ziemi i z pewnej wciąż dziejącej się historii, której żaden człowiek nie potrafi odrzucić. „Kto mi odda te trzydzieści lat niewidzenia kraju? Czy mogę je odkupić za dolary?”

Jerzy Kosiński znów wrócił do źródeł mistycznej inspiracji.

PS. Autor uzyskał zgodę Jerzego Kosińskiego na cytowanie fragmentów jego lubelskich wypowiedzi.

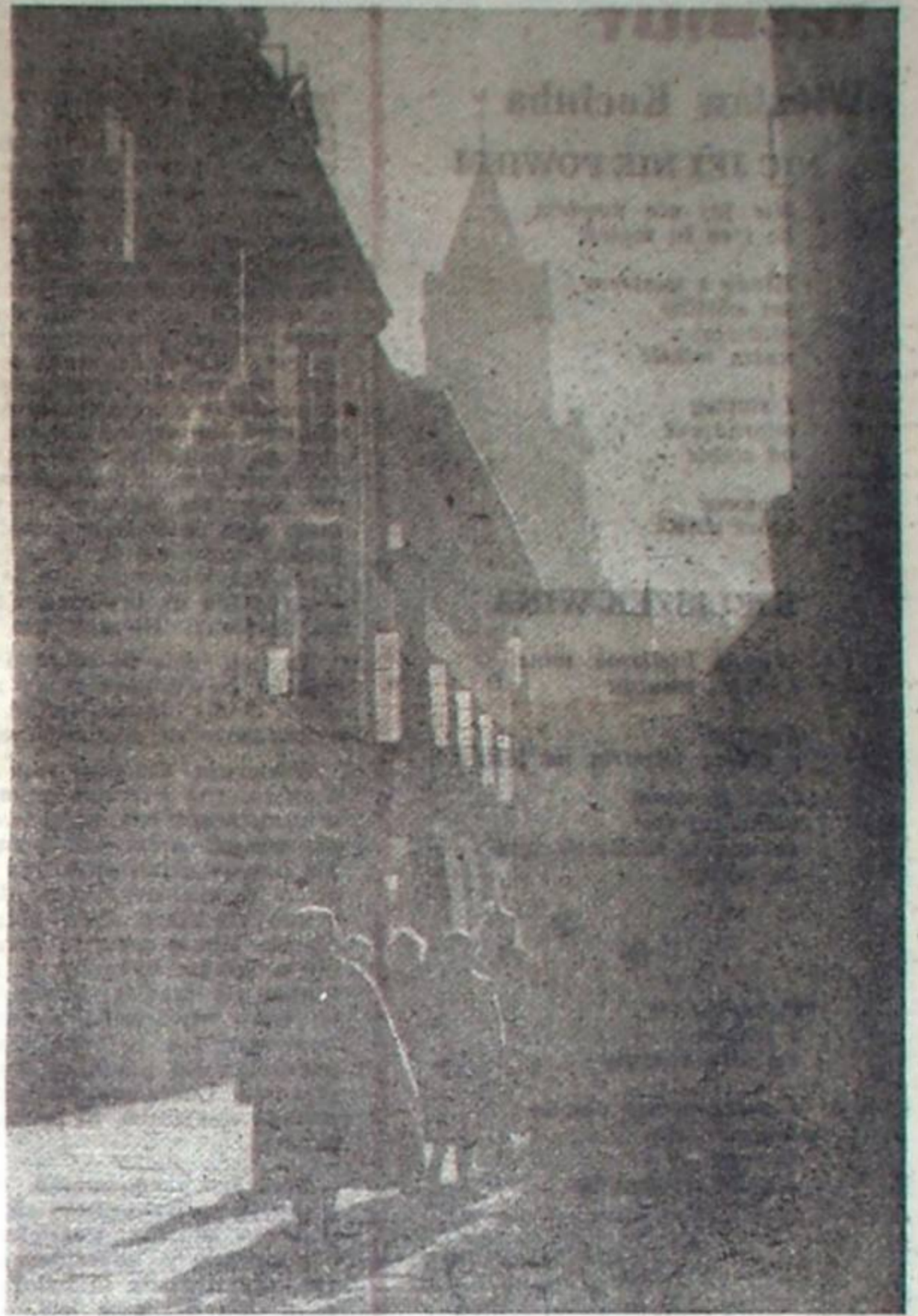
Aleksander Rozenfeld

Wciąż pytają wszyscy pytają
gdzie jesteś i skąd
po co żyjesz po co piszesz
po co oddychasz
gdzie masz dom i kiedy wyjeżdżasz
po co wróciłeś
skoro i tak prędzej czy później
jutro pojutrze za rok
będziesz chciał rozmówcę
spotkać w innym niż tej chwili
miejscu

Co to takiego Polska jeżeli każdy
coraz to inny obraz jej
ma w swoich oczach
jeżeli w dzień przeklina dzień i miejsce
swego urodzenia a nocą
zasnąć nie może marą rzucany
z jednego miejsca na drugie

obce lądy odwiedza bez wizy
i paszportu

Co to takiego ojczyzna
— pytanie w nas mieszka
od narodzin do śmierci
gdy piszę wiersz — mówię do ludzi
czyszczę ludzkie uszy szprycą
oszalełego słowa



Fot. Waldemar Stępień

PAMIATEK nie za wiele. Gruba kościelna świeca z chrztu świętego (nie mojego, syna), która licho wie, jakim sposobem, cudem prawie, znalazła się za oceanami, i pocztówkowa płyta, nagrywana jeszcze prywatnymi rękami na bazarach. Pokazałem świecę, John pokłonił głowę, oni tu wszystko biorą na serio, a gdy puściłem płytę, krótko skomentował: „Bush dane”. Thumaczyłem mu, że to polish love story, spontaniczne i autentyczne, siedmiu chłopców z Albatrosa, fregata, jezioro i Beata. A dalej to jesienny liść, ale w innym niż australijskie listki kolorze, ponieważ one z reguły jesienią nie żółkną, co więcej, niechętnie opadają, za to kora opada z eukaliptusów szaro-białymi płatami. „Złota jesienna kora” — byłoby to bez sensu, podobnie zresztą jak i owe dwie piosenki w oryginale. Te bez sensu mają jednak większy dar przetrwania.

Tu w Perth, w miejscowym studenckim radio jest półtorej godziny polskiego tygodniowo (cała godzina w niedzielę i połówka we wtorek). I właśnie nie tak dawno Złotousty puścił tę Beatę, ale już w wydaniu poprawionym, wygładzonym przez artystyczne komisje, bez tego melodyjnego: „aaa”, które dawało właściwe zakończenie frazy, a równocześnie upodobiło dawnego bazarowego barda do prawdziwego buszmena. Bard na owym nagraniu prezentowanym przez Złotoustego, był bardzo poprawny, ugrzeczniony, najprawdopodobniej nawet z kulturą muzyczną na miarę rozrywkowej muzyki z daleka kraju, ale już tego nagrania nie poleciałbym Johnowi, ulicznemu wykonawcy z głównego miejskiego deptaka, śpiewającemu (o czym marzy krajowa czółowka, która się bodajże powiększyła o kilka nazwisk od mego wyjazdu) za dolary...

Polskość więc się czepie garściami, choć ze skromnych i wysychających źródeł, natura bowiem każdego źródła jest taka, że z czasem lubi ono wysychać. Owszem, dostaje jeszcze obfite wycinki z prasy krajowej, wszyscy (jakby to określić) głoszą pisać i powarunkują nawzajem w kunsztowne tkaniny polemikach, zipsią jeszcze polskie audycje (trudności finansowe, trzeba dopłacać z prywatnych kieszeni do tychże audycji radiu studenckiemu), ukazuje się miejscowa polonijna gazetka, zwana jak na ironię „Kurierem” (w rzeczywistości jest miesięcznikiem, czasami nawet dwumiesięcznikiem), ale trudno jednoznacznie określić, czy to są jaskółki wiosny, czy też zwiastuny jenui. Obowiązkowo w marcu, kiedy australijski czas ku temu odpowiedni, redaktor Złotousty puści chyba najlepszą piosenkę Czesława Niemena. „Mimożami jesteś się zaczyna” (wiem, wiem, z tekstem Tuwima) i kiedy tak się patrzy w fale Indyjskiego przy sztandarcie w ciemności, jakże trudno uwierzyć i w jedno, i w drugie, to znaczy w mimory i w jenień. Ale czekamy, a przyjdą krótkie tropikalne deszcze i świat się rozświetli i na nowo zakwitnie.

Tymczasem w Domu Polskim, pocziwym drewnianym budyneczku przy eighth Avenue nazywam to: AIDS Avenue — bardziej nowoczesnie, nie ma klimatyzacji, tylko leniwie u sufitu obraca się mieszający zaduch wiatrak. Okna są ściśle zamknięte, ponieważ ktoś wymyślił teorię, że, w czasie upałów najlepiej przy zamkniętych oknach (i opanie, nie bucha gorące powietrze do środka) i czego nie ma w tym domu „pod orlem białym z

Polacy i Polonusi

Adam Fiala

koroną! I patriotyczny okolicznościowy wierszyk z okazji Listopada (wiśń wiecznie) w formie gładkiej, częstochowskiej rymowanki, i wycinek z prasy polonijnej, i komunikat specjalny, i kolorowe zdjęcie tancerza w krakowskim stroju (z pawim piórem, jako tym przedłużeniem zamiast korony)... Jak spotkasz starego Polonusa, to wiadomo przyszedł pogadać. Jak spotkasz nowego Polaka, to wiadomo — przyszedł dyskretne wywiadać się, czy nie ma jakichś korzystnych nowych zmian w przepisach imigracyjnych, można by ściągnąć Józka z Włoch, Marię (cioteczna siostra) z RFN, a nawet brodatego Bolka — naukowca ze słonecznej jak i Australia Grecji. Są to sprawy najważniejsze: można powiedzieć bytowo.

Starzy Polonusi nie mogą natomiast zapomnieć o swoich, sprzed kilkadziesiąt lat, sprawach bytowych, kiedy to mieszkano w blaszanych barakach albo — jak kto woli — blaszanych namiotach. Nie trzeba specjalnej wyobraźni, by wczuć się w taką świecą karbowaną blachę przy australijskim słońcu, stojącym prawie nad głową. Toteż wczuwają się i rozczulają się, bo mają na to kupe czasu („ale pracy, panie, też wtedy było, gdzie kto chciał i czym kto miał”).

Teraz pracy jest mniej, zwłaszcza dla facetów no czterdziestce. „W przyszłości i tak będą same roboty, nikt nie będzie czytał ani pisał, zaś elektroniczne czujniki w bankach wychwycają odciski palców w celach identyfikacyjnych” — jak mówi solidarnościowiec-turysta. „Co jest ze związkami?” — „Daj spokój, daj spokój” — i wygląda na to, że ma ochotę na piwo.

Najważniejszy problem to zakup fortepianu do Domu Polskiego. Mój Boże, zajęło prawie całą salę, ale jak już będzie powiadomienie. Tak się bowiem stało, że mamy kilku zawodowych muzyków-emigrantów poważnych, bez gitar i protest songów (tamci, jak wiadomo w RFN, ze skrzypcami i fortepianem to znaczy ze skrzypcami i umiejętnością gry na fortepianie, bo jak go przetrucie niewielekim kosztem, chyba w cześć, ale trzeba by chyba zaangażować cały emigracyjny rzut, i to najprawdopodobniej na cały kontynent. Fortepiany są oczywiście drogie, ale pieniądze twarde, już za kilka koncertów można coś ucułnąć. Sorobu, melodyjny bracie, nawet smod znaku szarnidrułów, ucułnąć koncertami na wudekach i sendekach na dobrego, zgranicznego Bechsteina!

Mamy, w sensie oczywiście Polonii, także zawodowych aktorów. Ktoś by powiedział: szalenie, po co jechali? W Australii tylko inżynier, lekarz, Akurat. No chyba, że bardzo młodzi. Przy krajowym systemie studiów medycznych młody lekarz jest tu już starszym lekarzem i naturalnie nie ma odpowiedniego doświadczenia czyli experiensu, nie wspominając o tak drobnym, choć istotnym szczególe, jak o australijskiej odmianie języka angielskiego. Muzyk — przemawia instrumentem. Aktor? No właśnie, pozornie wydawałoby się, że też czegoś mu brakuje, ale może grać postacie etniczne. We współczesnym teatrze tekst na dalszy plan schodzi, i tu też najważniejsza sprawność ciała. Więc kilku sprawnych aktorów-etników, to znaczy Polaków, założyło teatr etniczny, sztuki polskie (w tym nawet jedna radziecka), grane w języku angielskim.

Początkowo miał być to tylko teatr jednoaktówkowy, od Mroźka młodzieńczego, później dyrektor wpadł na zupełnie dobry pomysł, by angażować w większości adeptów tutejszych szkół teatralnych, czy też odpowiednich wydziałów na tutejszych uniwersytetach, znalazły się więc rządowe pieniądze, corocznie przyznawane w ramach grantu, i ten dziwny twór daje raz w roku premierę, zbiegającą się zwykle z miejscowym sztuk festiwalem.

Dyrektorem jest oczywiście Polak, młody brodaty aktor; w kraju, nikomu nie znany, miałby, innymi, trudności, choćby z zaangażowaniem się do Teatru Lubelskiego jeszcze w Starym Budynku. Najważniejszy jednak w świecie sztuki współczesnej jest pomysł i w odpowiednim czasie podjęta, trafna decyzja. Tu, tu obok Domu Polskiego jest kościół polski wraz z kaplicą. Początkowo myślałem jedno z drugim, później okazało się, że to co nowsze i bardziej okazałe, to właśnie kaplica. Formalnie biorąc kościół jest teraz katolicki, były polonijny spór i przyszedł pod jurysdykcję miejscowych zwierzchnich władz wyznania rzymskokatolickiego, ale i tak w większości przychodzi tam Polacy Polonusi, czy też Polonusi i Polacy, jak kto woli (Polacy dlatego, że mogą w każdej chwili wrócić, kiedy się nadarzy odpowiednia okazja; ci, którzy nie chcą wracać, to po prostu Australijczy polskiego pochodzenia, też zresztą kościół odwiedza).

Hierarchia Polonii jest skomplikowana, i ta oficjalna, i ta od bufetu, trzeba być niezwykłym dyplomata, żeby się komuś nie narazić; podobno dlatego tyle jest organizacji, że każdy ważniejszy Polak chce być prezesem, wiceprezesem, a chociażby skarbnikiem. Tu niestety nie ma tych tytułów: „Panie magistrze”, „Panie kierowniku”, „Panie docencie”, więc choć w ten prosty sposób (nie ma większych trudności z zarejestrowaniem jakiegokolwiek z organizacji) można sobie to zrekompenzować. Bo czy na przykład dyrektor-inżynier z zagranicznej placówki, który można powiedzieć, znalazł się na emigracji przez prostą pomyłkę i zaskoczenie, jest zwykłym emigrantem? Przeniesiwy! Co z nie ukrywaną przyjemnością kwituje, bowiem nigdy nie byłem inżynierem, chyba że dusz, w swym groteskowym zakresie, bądź innym lekarzem, co to najszybciej na wieść jechał, żeby się dorobić potem do Afryki, a potem przymierzał się do Zachodu i za Oceanu.



DEBIUT

Wiesław Kociuba

NIC JEJ NIE POWIEM

Nic jej nie powiem
bo i co tu mówić

Kiedy z wiatrem
jej włosów
uleciała
nasza miłość

I stoimy
odgradzeni
od siebie

Słowem
które dzień

KIELISZEK WINA

Wypiła kieliszek wina
i siedzi smutna

Smutna
z głową wspartą na łokciu
Lecz ja wiem
i ona też wie
że wypila kieliszek żalu
do mnie

* * *

Pokazała się
i znikła
za górą różową

I tylko przez chwilę
kolysała się
jeszcze
gałązka rozkwitła



Rys. Edward Ingłot

KWIETNIOWY PORANEK

Leżała bez ruchu
w sukieneczce w grochy
maleńka jak papirek
pod kolanami
ciężarówka

Za kierownicą siedział
skamieniały szofer

Gdzieś zza bloków
klakson
burzył kwietniowy poranek

Leżała cichutko
bez słowa protestu
tylko rudy warkoczyk
zdziwiony tym nagłym
zatrzymaniem
biegał po asfalcie

JASKÓŁKA W MAJU

Siedzi przed lustrem
maluje rzęsy
i jeszcze nie wie

Jeszcze nie wie
a już wybiega
biegnie
przed siebie

Cała w purpurze
dama dojrzała

Taka młodzieńka
jaskółka
w maju

On

Śpiewa, jeżeli można to tak nazwać, to śpiewa. I z czego taka zadowolona? Jak kobieta może być aż tak głupia? O, jak się mizdrzy! Po co szczerzysz zęby, ty idiotko? Żeby wreszcie podać tę kolację. Kolacja! Przecież to nie jest kolacja, lecz rytuał. Robi to wszystko chyba złośliwie. Potrafię przewidzieć każdy jej gest, ruch, każde słowo. Nie, nie robi tego złośliwie. Istotki z ptasim mózdzikiem nie stać na złośliwość. Na szczęście po kolacji nie odepnę musiał patrzeć, jak siada przed telewizorem i robi na drutach. Nie będę słuchał jej komentarzy i odpowiadał na codzienne, głupawe pytania: „Co u ciebie dziś słycać, kochanie? Czy smakowała kolacja mojemu pieczonekowi? Dlaczego dzidzius taki ponury?” itp. Uf, jak mam tego dość! Całe szczęście, że Ania dziesiątą może się ze mną spotkać. Ona myśli oczywiście tak, jak jej powiedziałem, że idę na brydża do Staśków. Co za debilka! Niczego nie podejrzewa.

No tak, idzie do mnie. Pewnie zaraz posadzi swoje dupsko na moich kolanach. O nie! Muszę wstać. Podejdę do okna, może się nie orzycepi.

Właściwie dlaczego nie rzucę tego wszystkiego? Przecież lepiej byłoby mi w samotności. Nie, nieprawda. Nie cierpię zmian. Anna nie rozwiedzie się, już dawno ustaliliśmy. Ma dwoje dzieci. A w gruncie rzeczy nie muszę się o nic troszczyć. Ona gotuje, sprząta, pierze. Muszę grać tę komedię. Tak, nie mógłbym być sam. Z Anulką spotykam się rzadko. A ona, cóż, zawsze to żywe stworzenie w domu. Robi wszystko, nie narzeka. Nauczyłem ją porządku. Na początku wszystko przedstawiała. Lubię swoje rzeczy mieć na stałych miejscach, to pomaga i nie rozprasza.

Ona jest nienormalna. Im gorzej ją traktuję, tym bardziej się łasi. Chyba jest masochistką. Pamiętam blysk w oczach, kiedy uderzyłem ją pierwszy raz, zaraz, kiedy to było? W ubiegłym roku, jak ten czas leci, już dziesięć miesięcy temu. Nie mogłem wytrzymać. Ze mną też dzieje się coś dziwnego. Nie przypuszczałem, że będę zdolny uderzyć kobietę. Chyba dlatego, że muszę ją brać co jakiś czas, inaczej domyśliłaby się, że mam Ankę. Najgorsze, że lubię to robić. Brzydzę się później sobą z drugiej strony, jeśli jej to odpowiada? Mnie też, w ten sposób tuszuję nieco swoją „zdradę” wobec Ani. Ją kocham, a tej nienawidzę.

Boże, przecież Jagodę też kochałem. Dawno, ale kochałem. I pomyśleć, że za kilkanaście lat mógłbym to samo zrobić Ani. Nie, jej nigdy. Ma taką drobną figurę, tak delikatne ciało. Jagoda jest wszędzie pełna. Obfитоść zawsze wydawała mi się wulgarna. Przypominam sobie, że nieraz klepnąłem ją po tyłku. Jakoś tak ręka sama... Był to rodzaj pieczyoty. Pieczyoty? Może Jacek Ani ją tak samo? Brr... Nie, nie odważyłby się, z nią tak nie można! Anulko moja kochana, niedługo się zobaczymy. Która godzina? Jeszcze dwie, czas stol chyba w miejscu!

Idzie to straszdy. O tak, naturalnie, do kuchni koniecznie czepek na głowę. Będzie tak chodziła, póki nie nakryje stołu. Właściwie to nie... Jezul! Nie zdążył tym razem wstać! No tak, już siedzi. Zepchnę ją na podłogę, słowo daję! Oczywiście, że nie zepchnę, nawet pocałuję. Ile wytrzymam w tym kabarecie? Powinienem zostać aktorem.

Nareszcie, było to jedynie zaproszenie do kolacji. Całe szczęście, dzisiaj za nic w świecie! A jak jej przyjdzie do głowy po kolacji? Ucieknę, zwyczajnie ucieknę.

Ona

Siedzi, rozwałił się w fotelu i zerka, cholerny impotent! Zebys ty wiedział, jak mam cię dosyć. Godzę się na wszystko, ty idioto, tylko ze względu na Adama. Cóż sobie myśli, ten tyściejący półinteligent? Sądzisz, że nie wiem, wieprzku? Myślisz o swojej loszce. A myśl sobie, znowu pewnie do niej polecisz. Nawet nie domyślasz się, jaką przysługę mi wyświadczysz!... swojemu sąsiadowi. „Idę na brydża do Staśków, kochanie”. Koń by się uśmieł! Marzena i tak mi powie, choć wcale nie będę pytała. Staszek zakłina ją za każdym razem, żeby się nie wygadała. A ona, jak to ona, donosi. Kiedyś nawet byłam ciekawa, dzisiaj — po co? Adam i tak ma wyjechać do Australii. Ustaliliśmy, że przyjadę do niego po dwóch, trzech latach, może wcześniej. Dzisiaj jest tam już

On, Ona, Oni

Urszula Gierszon

dziesięć lat, pomoże bratu. Mam dość siły, by grać tę komedię jeszcze dwa lata. Chociaż znoś to zwierzę codziennie, gotować, sprzątać, prać, wcale niełatwo. Zresztą co man. robię w domu, w którym śmierdzi trupem?

Dziwne, ale tam, gdzie nie ma dzieci, jest jak w grobowcu. To nie tylko brak dzieci. Nienawidzę tak cuchnie. Kiedyś kochaliśmy się. Ileż pomyśleć, że chciałem mieć z nim dziecko, przechodził mnie dreszcz. W jakiej atmosferze musiałoby dorastać? Ten człowiek pozbawiony jest wyobraźni, nie ma w nim nic ludzkiego. Wszystko zaplanowane, chłodno w kalkulowane w jego rytuał dnia. Po ejrzewam, że dziecko zauważyłby dopiero wtedy, kiedy ukończyłoby dwadzieścia lat. A i tak ograniczyłby się do zdziwienia, że tak urosło.

Zycie obok niego nauczyło mnie jednak czegoś. Teraz wiem, nie warto wiązać się z wzorem dokładności, solidności i nudności. To obrzydliwe. Pewnie taka była przyczyna mojej do niego nienawiści. Od kiedy pamiętam, nigdy nie zdarzyło mu się zaspać. Wstaje zawsze punktualnie, wychodzi z domu, wraca, kolacja zwykle o tej samej porze. Biedna ta jego Ania, nawet na spotkaniu z nią wychodzi od dwóch lat o dwudziestę. Stosunki stałe o określonej godzinie, przedtem — raz w tygodniu, teraz — dwa razy w miesiącu. Ciekawe, czy w tych samych dniach? Muszę to sprawdzić. W łazience kosmetyki — od lat tej samej firmy — po ustawiane koniecznie na swoich miejscach. Stałe miejsce pracy, to samo krzesło, ten sam fotel w pokoju, niezmiennie gusty, ruchy, poglądy. Gdzie w tym człowieku fantazja? Nigdy nie zapomina tego, co musi pamiętać, bo tak trzeba. Natomiast nie pamięta



Rys. Adam Lep

tego, czego nie trzeba pamiętać. Uff! Pewnie myśli ma też uporządkowane i posegregowane.

No tak, przygotowałam mu żarcie. Tylko nie najedz się do syta, bo do reszty skapaniesz. Jak wtedy będziesz z Anią?

Teraz tylko przeżyć kolację, jego gesty i słowa. Papkę o byle czym, aby nie

patrzeć na niego. Później jeszcze wytrzymać mycie zębów, kropienie się wodą kolońską... Ciekawe, czy „to” też myje i skrapia wodą? Chyba tak, przecież stary kogut idzie do kokoszki. Jak ona nie brzydzi się dotykać go, całego w „Przemysławce” i tłustego od różnych mazideł? Adam również używa wody, ale dyskretnie. Za tym ciągnie łuna, a kiedy wreszcie wychodzi, otwieram okno, bo nie sposób wytrzymać.

Oni

— Kochanie, co ciekawego zdarzyło się dzisiaj u ciebie? Zryj i nie odzywaj się, bo nie wytrzymam i rzucę nożem.

— Nie szczególnego, kotku, wszystko w porządku. A nie mówiłem? Nie znoś tego!

— Nie pytasz, co u mnie? Może zapytam, co u jego Ani? Nie, wszystko popsuje. Właściwie to dobra zabawa, co ty na to, wieprzku?

— Uhm... Co u ciebie?

— Wiele, ale jak ci powiem, pewnie się zgorzyczysz. Wiesz, Jolka Zaręba przyniosła do pracy „świerszczyki”. Mówię ci, czego tam nie było! Tyle lat przeżyłam i czegoś podobnego nie widziałam. Podrocę się trochę, cóż mi szkodzi? Współczuję tej jego lali. Biedna kobieta, skoro on ją zadowolą.

— Jajciu, jak się nie wstydzisz mówić takie rzeczy? Chryste, co zrobić, jak będzie chciała robić coś takiego ze mną? Prostaczka, gdzie ja miałam oczy? Gdyby Anna się dowiedziała, z kim ja żyję pod jednym dachem!

— Dlaczego mam się wstydząć, głup-tasku? „Nic co ludzkie nie może być nam obce”. Ale poczerwieniać ciekawa jestem — ze złości czy ze wstydu? Poczekał, zaraz ci powiem coś takiego, że się udławisz.

— Kochanie, nie myl człowieczeństwa z fizjologią. W ogóle wypraszam sobie takie tematy, rozumiesz? Co za wstrelna baba gotowa popsuć mi spotkanie, na które tak długo czekałem. Koczko-danica!

— A fizjologia nie ma nic wspólnego z człowiekiem według ciebie? Nie ma już takiego jak kiedyś zakłamania. Pozbądź się purytanizmu. Wyobraź sobie, że dzisiaj nastolatki więcej wiedzą na tematy seksu niż my, dorosłe kobiety. Malgośka opowiadała mi, że przylapala swojego Tomka z dziewczyną na „gorącym uczynku” — że tak się wyrażę. Kiedy weszła do pokoju, nie przestali i wiesz, jak to robili? Po francusku, koreczku. A później dziewczyna nieskrępowana przyszła przywitać się, a Tomek Malgośce robił wyrzuty, że im przeszkodziła. Zważ, że Tomek ma dopiero siedemnaście lat. Tak jak myślałam, o mało się nie udławiał.

— Wychodzę!

— Kiedy wrócisz, kochanie? Wychodź prędzej, bo pełnę ze śmiechu.

— Póno, nie czekaj na mnie! Jeszcze tego by brakowało, żeby czekała! Potwór! I z czego to się śmieje?!

Bez klaki

Zdobyć własnego komunista

ZAZWYCZAJ wzmianka o programie teatralnym (rozumianym jako druk informacyjny, towarzyszący spektaklowi) znajduje miejsce na marginesie recenzji, by nie jako dopełnić pole widzenia krytyka. Ja natomiast zechcę się zająć programem na samym wstępie omówienia premiery „Mandatu” w Teatrze im. J. Osterwy.

Oprócz chęci pochwalenia „trafionej” ideowo i utrzymanej w indywidualnej stylizacji strony plastycznej (rzecz Mikołaja Smoczyńskiego), skłania mnie do tego pewien zabieg formalny, zastosowany przez kierownika literackiego przy komponowaniu treści. Jerzy Jasiński dokonał dość osobliwego, na pierwszy rzut oka, zestawienia tekstów — artykułu o radzieckim teatrze okresu Łunaczarskiego (pierwszy ludowy komisarz oświaty) zamieścił obok fragmentu książki Michaiła Gorbaczowa pt. „Przebudowa i nowe myślenie...”. Wypowiedź o pierścieniu w Kraju Rad pozornie nie przystaje do artystycznego sąsiedztwa, ale jest znaczącym, chociaż tu nie wypowiedzianym, komentarzem, przygotowującym do odbioru sztuki Erdmana.

Zmieniający się kontekst polityczny, ukazany przez taki dobór wypowiedzi, tłumaczy recepcję sztuki na przestrzeni kilkudziesięciu lat (powstała w 1925 r.) oraz zwraca uwagę na relację między światem rzeczywistym a wykreowanym na deskach scenicznych. Sprawa to więcej istotna, bo chociaż „Mandat” jest sztuką o świecie, jaki autor widział wokół siebie, jednak pewne działania tam mechanizmy wydają się mieć wartość ponadczasową. Taką jest, wypracowana i wyolbrzymiona przez dramaturga na użytek sztuki, skłonność ludzka do asekurantstwa i koniunkturalizmu w wyznawanych wartościach. Stąd też niemal wszystkie postaci mają podwój-

ne oblicza, czego zabawną ilustracją jest ta oto scenka:

NADIEZDA PIETROWNA: „Panowie kochani, zlitujcie się nad człowiekiem prawosławnym, Antonie Zygmuntowiczu, on tylko z jednej strony jest komunistą, a z drugiej...”

PAWEŁ SIERGIEJEWICZ: A z drugiej to całkiem na odwrót (wstaje i kłania się. Do tyłka przykleił mu się portret cara Mikołaja).

Prawie do wszystkich osób „Mandatu” odnoszą się słowa głównego bohatera: „Ja to jestem człowiek wszechstronny”. Przy czym owa „wszechstronność” oznacza tyle co utylitarizm, skrajną dyspozycyjność, zdolność przystosowania się za każdą cenę, łatwość kompromisów etycznych. Ich życiowe wysiłki skierowane są na zabezpieczenie się. U przedstawicieli młodej władzy radzieckiej. I u reprezentantów warstwy świeżo co zdeklasowanej. Ludzie ci są opamiętani zarówno chęcią „zdobycia własnego komunisty”, jak i „ocalenia tego, co po dawnej Rosji zostało”. Prześcigając się w pomysłach wygodnego urzędzenia się, przeprowadzają spekulacje tej natury: „Ależ taki człowiek jak Paweł Siergiejewicz [właściciel mandatu partii bolszewickiej, jak się później okaże, fałszywego — przyp. M.J.] to po prostu nie człowiek, tylko list żelazny. Jeżeli trzeba będzie za mnie poręczyć, to on poręczy, jeżeli trzeba będzie się za mną wstawić, to się wstawi. Jeżeli będzie mi potrzebna rekomendacja, to mi da rekomendację, jeśli będę chciał mieć czyste buty, to mi je wycyści”. Wszystko to jest dwuznaczne, gotowe do nagłych przeistoczeń, zmiany reprezentowanych dotąd barw. Nawet obrazy w salonie Gulaczkinów są malowane po obu stronach płótna: na jednej jest „Wierzę, Panie, wierzę”, na drugiej — portret Karola Marksa.



Jadwiga Jarmuł i Jacek Gierczak w „Mandacie” Mikołaja Erdmana
Fot. Zygmunt Rytka

Taka przerażająca rzeczywistość została przedstawiona jednak komediowymi środkami, oscylującymi nawet w kierunku farsy. Śmiech na widowni osiąga się różnymi metodami, bo z woli Erdmana „Mandat” ma być arcykomiczny. Toteż jest w nim miejsce na elementy karykatury i groteski, zabawę grą słów. Dla komizmu niższego rzędu autor buduje sceny jak ta, gdzie matka z pistoletem w ręku zaskakuje własne dzieci, włamujące się do skrzyni, i mimo długiej z nimi konwersacji nie rozpoznaje ukrytych za kufrem. Takie „chwyt”, przy swojej długości i znacznym stopniu zużycia przez wielowiekową eksploatację, zamiast bawić — nużą. W tym sensie sztuka Erdmana nieco się zestarzała. Dzisiaj — jak mi się wydaje — nawet w utworach komediowych wśród prowokowanego chichotu pozostawia się chwilę ciszy na zadumę. Ponadto sztuka ma wiele cech też porwulucyjnej dramaturgii — zbyt jawny dydaktyzm, skłonność do „lopatołogicznego” wręcz wykładania każdej pointy oraz schematyczność w budowaniu postaci.

Wierność tekstowi zadecydowała o kształcie scenicznym przedstawie-

nia w lubelskim teatrze. Andrzej Rozhin (przy współpracy Pawła Lizuta), wyreżyserował je w tradycyjnej konwencji. Akcja rozgrywa się w realistycznej, bardzo pięknej scenografii Andrzeja Markowicza (i współpracującego z nim Ireneusza Salwy), zrobionej z wielką troską o każdy szczegół. Cały spektakl odznacza się dużą starannością realizacji. Wyjątkowo dobrze zespolone są wysiłki kompletu aktorskiego. Prawie każdy ma w tym przedstawieniu „swoje pięć minut”, niezależnie od rangi roli. Długo można by omawiać poszczególne kreacje. A miejsca tylko tyle, by o najlepszych wspomnieć. Wśród widowni największe uznanie i sympatię zyskała Jadwiga Jarmuł (służąca i fałszywa carewna). Na drugim planie zaś wyróżnił się Jerzy Rogalski (służący Agaton). Oszczędnie używana muzyka Andrzeja Zaryckiego jest w tym przedstawieniu funkcjonalnym znakiem kulturowym, szybko sytuującym akcję w czasie i klimacie politycznym. Wykorzystuje się ją również dla wprowadzenia na scenę układów choreograficznych Jacka Tomasika, które ubarwiają wizualnie spektakl.

Magdalena Jankowska

ZNOW odwiedziłem pana Bazylego Albiczuka, malarza z Dąbrowicy Małej, która leży gdzieś tam w województwie białkopodlaskim, na uboczu traktów głównych.

Zastąpiłem go w niezłej formie, wyraźnie dochodzącego do siebie po dolegliwościach, które nekaly artystę w minionych latach.

Narzekal tylko, że dłoń mu drętwieje od korespondencji. W ciągu roku otrzymuje prawie 150 listów z kraju i zagranicy, na które rzetelnie odpowiada, choć zwykle odsyłając nadawców z eleganckim kwitkiem. „Zyczenie u nich jedno: zdobyć obraz!” — wyjaśniał pan Bazyl.

Czy jest w Polsce inny malarz, który dostaje tyle listów?

A czy jest jeszcze artysta, który tak jak on świadomie nie korzysta z owej koniunktury, w obawie przed stępieniem własnej wrażliwości, no i twierdzi, że do życia w zupełności wystarcza mu emerytura?

O panu Bazylim i jego twórczości nakreślono film dokumentalny, w młodzieżowej opowieści Lecha Borskiego „Ślady raj” barwią się całostronowe reprodukcje jedenastu obrazów Albiczuka do Dąbrowicy Małej ciągle, od wielu lat, zjeżdżają dziennikarze, znawcy kultury ludowej i kolekcjonerzy dzieł sztuki, nie mówiąc o wycieczkach szkolnych z bliższych i dalszych okolic.

A pan Bazyl mówi tak: „Ja nie jestem zawodowym malarzem, ale i nie jestem rzemieślnikiem. Maluję, kiedy chcę. U zawodowca śladem malarstwa, u mnie — natura”.

Chyba warto przypomnieć, że do roku 1965 Albiczuk malował dla kościołów i dla ludności. Tonał w zamówieniach na rzeczy dewocyjne i pospolite jeszcze bardziej, jako to: makaty, obrusy, sukienki — koniecznie z motywem szlacheckiego kwiatu róży!

Osaczony przez wzory modne i terminy, przez różę i zobowiązania, znalazł się na progu wyczerpaności nerwowej.

Broniąc się przed depresją, rzucił to wszystko i przeniósł wzrok, jak sam mówi, na „krzewinkę”. Zaczął malować własny ogród, który osobiście pielęgnował, nie dopuszczając doń róży! Pierwszy taki obraz nosił tytuł „Mój ogród w sierpniu” (1965).

W późniejszych latach wyszedł na puszyste łąki, zatrzymywał się przy leśnych jeziorkach, interesował się kołami w wysokich trawach, czasami malował ludzi.

„Ja lubię rośliny, owady i zwierzęta. Jak ludzi”. Dla pana Bazylego natura była i pozostała rzeczywistością sakralną, ale na sposób panteistyczny.

„Moim śladem natura”

„Wszystkie religie szanuję. W ogóle szanuję wszystkie wyznania i rasy, bo piękne jest to, co różnorodne”.

Jego obrazy stanowią wspólnoty indywidualnych krzewinek, kwiatów, drzew, ptaków, nawet polacie trawy posiadają odrębność, zaznaczoną puszystą fakturą — zupełnie inną od materii pionowych łądek czy kulistych bukietów.

Ludzie czują, że pejzaże pana Bazylego są prawdziwym świadectwem umiłowania natury, są bezpretensjonalną manifestacją utożsamiania się malarza z przyrodą. I piszą do niego proszalne listy: z Polski, RFN, Holandii, USA, nawet z Kolumbii. Kto wie, może byłoby zdumienie, gdyby dowiedzieli się, że Albiczuk nie pracuje bezpośrednio w plenerze, lecz w domu własnym, który po kilku latach mordęgi wystawił był sobie w roku 1980. Ale te jego słynne już pejzaże nie mają nic wspólnego z fantazją, każdy z nich posiada swój realny model — zauważony i zapamiętany przez artystę.

„Ja maluję tylko to, co zobaczyłem. Jeśli obraz mój prawdy nie mówi, to byłoby dla mnie wstydem o nim mówić”.

Gawędziliśmy z panem Bazylim przy stole obficie zastawionym: kielbasą wiejską, serem szwedzkim, masłem szwedzkim, kawą paloną w Szwecji, czymś tam jeszcze. Ten skandynawski fragment jadłospisu przypominał fakt z niedawnej przeszłości, z sierpnia 1985 roku, kiedy to malarz skorzystał z rodzinnego zaproszenia i wyprawił się do Goeteborga, gdzie mieszka jego siostra, która często zresztą odwiedza Dąbrowicę Małą.

Panu Bazylemu niejedno podobalo się w Szwecji, np. czystość, ale najmocniej zapamiętał wizytę w ogrodzie botanicznym, w którym znalazł setki gatunków grzybów oraz pomnik autora pierwszej wielkiej, naukowej systematyzacji roślin Linneusza. W jego też towarzystwie utrwalił się na fotografii. Zapamiętał ponadto „szpital dla ptaków”,

czyli jezioro z podgrzewaną wodą. Ale tak w ogóle, to przyroda szwedzka wydała mu się „za biedna” w porównaniu z polską.

Pan Bazyl zna prace Linneusza, ale i sam, według własnego klucza, klasyfikuje rośliny. Opracował też własny kalendarz, który składa się z trzynastu „miesięcy”, przy czym czerwiec stanowi tu południe roku.

Przy tym szwedzkim stole kwieciowym nie było jakoś mowy o sztuce szwedzkiej.

„Moim śladem natura” — stale podkreśla Albiczuk.

Chciałby jeszcze podróżować. „Tęsknię za podróżami” — mówi były saper Armii Czerwonej, z którą dotarł ze wschodu aż do Rostocka gdzie no raz pierwszy w życiu zobaczył morze. Zwiedzanie innych krajów uważa za najpiękniejszą przygodę w repertuarze ludzkiego losu.

Pan Bazyl ma lat 70 i ciągle marzy. Na przykład o obrazie swojego życia, takim bardzo dużym, najdoskonalszym obrazie. Od lat nosi się też z zamiarem namalowania swojego spotkania z wilkiem, do czego doszło dawno temu, w księżycową mroźną noc, kiedy cała wieś już spała a Albiczuk przemierzał, jak zwykle, leśne drogi. Ten ogromny borslor nie ruszył człowieka (który kurczowo zaciskał dłoń w kieszeniach spodni, by nie rozdrażnić zwierzęcia), ale też nie ustąpił mu z drogi, pewny swoich racji.

Pan Bazyl namalował ponad 1000 różnych obrazów i obrazków: na płótnach i innych tkaninach, na ścianach kościołów (np. w Horoszczyńce), ale tylko 75 wpisał do katalogu własnej twórczości. Prawie wszystko to rozeszło się po ludziach i instytucjach, ledwie osiem prac, głównie pejzażowych, widnieje na ścianach jego mieszkania. Na odwrocie tych obrazów znajduje się autorski symbol miesiąca, w którym zostały namalowane oraz taki znak: BADM co tłumaczy się: „Bazyl Albiczuk Dąbrowica Mała”.

Pan Bazyl deklaruje się jako „miłośnik rozumu” i przeciwnik „różnych fanatyzmów”, choć szkół wysokich nie kończył. Owszem regularnie czytuje: „Politykę”, „Trybunę Ludu” i „Nową Wieść”, no i często gawędzi sobie z emerytowanym kanonikiem z Białej Podlaskiej księdzem Romanem Suszyńskim, który „zna się na sztuce”.

Ireneusz J. Kamiński

Ekran i widz

Epatowanie publiczności

EDNI gotowi są uznać go za geniusza nowego kina, inni przeciwnie: nazywają Davida Lyncha pretensjonalnym amatorem, który usiłuje epatować publiczność nagromadzeniem makabry, erotyzmem z pogranicza perwersji, zatracającą surrealizmem poetyką, odrzucaniem uświęconych kanonów przyjętych dla porównania go z Brianem De Palmą, którego z kolei uważają za swoistego spadkobiercę Alfreda Hitchcocka. Jest więc David Lynch reformatorem nie rozumianym przez wielu krytyków czy też artystycznym nieudacznikiem, którego filmowy belkot biorą entuzjaści jego twórczości za szczerą kruszec?

Ten czterdziestodwuletni dzisiaj amerykański reżyser, były student akademii sztuk pięknych w Filadelfii, gdzie poświęcał się malarstwu, zdecydował się ostatecznie na kręcenie filmów. Po zrealizowaniu kilku krótkometrażówek debiutował w 1976 r. pełnometrażową „fabułą” zatytułowaną „Eraserhead” („Głowica ścierająca”), gdzie przenikały się wzajemnie elementy science fiction i klasycznego horroru. Film przyniósł mu uznanie w kręgach artystyczno-intelektualnych, eksperymentalnych. Natomiast powstały w 1980 r., również sięgający do fantastyki, „Elephant Man” stał się sukcesem komercyjnym, przyciągnął do kas kino-

wych szeregą widzów. Niestety, superprodukcja science fiction pod tytułem „Dune”, na którą wydano czterdzieści milionów dolarów, zrealizowana w 1984 r., przyniosła z kolei całkowitą klęskę kasową, i chyba nie mniejszą — artystyczną.

My oglądamy dzisiaj najnowszy z filmów Davida Lyncha, „opromieniony” atmosferą skandalu (jako że został odrzucony przez komisję kwalifikacyjną festiwalu filmowego w Wenecji) — „Blue Velvet” z 1986 r. Główną rolę kobiecą w „Blue Velvet” kreuje Isabelle Rossellini, córka wybitnego włoskiego reżysera oraz słynnej aktorki Ingrid Bergman; i to właśnie podobno z powodu jej udziału w „skandalicznych” scenach, jakie znalazły się w filmie, nie dopuszczono go na festiwalowy ekran.

Szczerze mówiąc, i bez owych scen (zresztą niesmacznych, prymitywnie wyreżyserowanych i równie źle zagrzanych) „Blue Velvet” nie powinien być się dostać na festiwal. Po prostu jako dzieło nader pośledniego gatunku, niespójne dramaturgicznie, a chwilami wręcz nudne, choć nafaszerowane scenami aktów przemocy, gwałtów, bicia w mordę, kopania, strzelania między oczy i płucia krwią...

„Blue Velvet” to historia jakby z pogranicza sennego lub narkotycznego koszmaru. Opowieść o młodym chłopaku z cichego, sennego i „czystego” w swej obyczajowości, prowincjonalnego amerykańskiego miasteczka. O niejakim Jeffreyu Beumontcie, który znalazłszy w letni poranek na parkowym trawniku... odcięte ludzkie ucho (scena jak z Polańskiego!), zostaje w konsekwencji wciągnięty w cały łańcuch makabryczno-kryminalnych wydarzeń.

Te wydarzenia wpisane są w inny, nie znany większości mieszkańców, „nocny” pejzaż Lumber-

ton, gdzie kwitną gwałt i przemoc, przekupstwa i handel narkotykami. Gdzie pewna prostytutka, Dorothy (Isabelle Rossellini), jest szantazowana i wykorzystywana przez zbrodniczego gangstera-narkomana Franka Bootha jako ofiarę jego perwersyjnych erotycznych praktyk. Chociaż w końcu nie wiadomo, które z tych dwojga jest do końca ofiarą w owym sado-masochistycznym związku... Tak w kilku zdaniach opowiedziany „Blue Velvet” jawi się może nawet jako film interesujący, jako wnikliwie naszkicowany obraz „drugiego dna” ludzkiej społeczności i także — ponura impresja na temat mroków ludzkiej duszy i zakamarków ludzkiej psychiki.

Niestety, jest to zarazem film zrobiony w sposób krytykujący pretensjonalny, zbyt grubą kreacją rysowany, zbyt nastawiony na szokowanie widza, na „straszenie” widowni. Tak, że w końcu nie bardzo wiadomo, o co tutaj reżyserowi chodziło. „Albo Lynch robi nam od początku w konia — napisał z pasją jeden z amerykańskich krytyków — albo nie ma najmniejszego pojęcia, jak sportretować małe miasteczko. Czy „Blue Velvet” to wielka kpina, czy też poważna próba analizy ciemnych stron małomiasteczkowego życia i seksualnego rozbudzenia pary niewinnych młodych ludzi (Jeffreya i jego dziewczyny, chodzącej jeszcze do liceum, Sandy Williams — MD) — czy może nieudana kombinacja jednego i drugiego?”

Dla mnie — „Blue Velvet” to także: nieudana i niepotrzebna transakcja handlowa. Niepotrzebny zakup przez polskiego dystrybutora, niepotrzebne, mało udane filmu — przy i tak już niedźnej sytuacji repertuarowej. Naprawdę szkoda czasu i pieniędzy na chodzenie do kina na takie filmy.

M. D.

Pocztą literacką

Marek Ch. Ignaców. Proszę nadesłać więcej wyborów dobrych wierszy. Szkoda, „Radu” jut nie ma, w którym mógłby Pan powtórzyć druk Przesłane trzy niewyraźne kołyski nie dają nam pełnej orientacji w Pańskich możliwościach. Onieśmielenie proszę jednak oddalić i kontakt z nami utrzymywać.

Marek J. Wrocław. Niektóre z nadesłanych wierszy są na poziomie druku, ale nie są tak dobre, aby zajmować skąpe miejsca poematów środkowoschodniej Polski. Trudno, nawet najlepsza nasza wola stron w „Kamieniu” nie przysporzy.

Krzysztof W. Piława. Pańskie wiersze opowiadają mniej poetycko, a bardziej potocznie. Powtórz się zapewne, ale i nadesłane ostatnio utwory upowiadają do tego: zapewne może Pan raczej zostać gawędziarzem, opowiadaczem. Może więc stanie się Pan kiedyś prozakiem?

Leszek K. Lublin. Sprawa podobna, teksty jednak dają mniej przesłanek do końcowych wniosków wobec Krzysztofa W. Retoryka, retoryka, mało płodny poetycko opis. Z innego czasu to pisanie, choć przedzierając się przez utwory współczesna treść. Nie odczuwa się, aby Pana interesowała współczesna poezja i jej kierunki. Szansu druku więc nie ma.

Klara P. Piłchowice, wojew. Jeleniogórskie. I te wiersze nie są z czasu, w którym Pan żyje, i Pan zdaje się nie dostrzegać przemian, jakie zaszły w poezji polskiej. Cóż, kiedyś byłoby to Pan pisanie czymś, teraz...

TJ

Listy do „Kamienia”

W wielkonocnym egzemplarzu (nr 7) „Kamienia” w eksponowanym felietonie pt. „Ostatnia Wielkanoc przed burzą” p. Wiesław Horabik z nonszalancką znajomością naszej historii sprzed 1939 r. uraczył czytelników informacją: „W marcu minister Beck wygłosił słynne sejmowe przemówienie. — Polska nie zna pokoju za wszelką cenę”.

Czyżby p. W. Horabik nie obowiązywała elementarna znajomość powszechnie dostępnych (w tym przypadku) źródeł historii społeczeństwa, dla którego „Kamień” jest (teoretycznie) przeznaczona? Owo „słynne” przemówienie zostało przez p. J. Becka wygłoszone w Sejmie 5 maja 1939 r. w odpowiedzi na memorandum niemieckie i wystąpienie Hitlera z 28 kwietnia 1939 r. Spodziewam się, że redakcja „Kamienia” tak rażąco błędnie sprostować.

J. ZIELIŃSKI

Lublin, ul. Pozytywiistów 4/38
Musimy się pokajać — p. Zieliński ma rację. Dziękujemy za uważną lekturę naszego czasopisma. Złośliwości i agresywny ton można było sobie darować. Red.

Krzyżówka nr 9 z szyfrem

Poziomo: A. dawny fryzjer O pomieszczenie na przewożony towar na statku, B. przynosi je czterolistna koniczyna, C. zdobia fronton katedry Notre Dame O broń obuchowa, buława rotmistrza, D. ośrodek wczasowy w Karkonoszach, E. niegrzeczny zarozumialec, O wieżyczka meczetu, F. część świata O wymyślił imperatyw kategoryczny, G. organ jednego ze zmysłów O bogini zwycięstwa O powoduje karę O gromada współtowarzyszy, H. dzieło O kupa papierów, I. nietolerancyjny nadgorliwiec O subiekt, J. odmiana gruszy, K. stolica wydająca zezwolenia na wejście w Himalaje O wieś pod Kraśnikami, którą w czasie okupacji nazywano Moskwą, L. wstrząs wywołany osunięciem się skał w kopalni, M. trzeźwo patrzy na wszystko O zecer.

Pionowo: 1. pocisk lotniczy O wschodni wędrowny kulgacz, 2. prawda, 3. sznur do chwytania bydląt O Rospuda w dolnym biegu, 4. niezbędna na karku, 5. okruh ognia O maszyny tartaczne, 6. miasto francuskie związane z polskim królem, 8. na śmieci w wieżowcu O część dramatu O hardość, 9. najdalej na północ wysunięty przylądek w Polsce, 11. utwory O zastępuje nieletniego monarchę, 13. przytulenie do piersi O utrwalanie doznanych wrażeń, 15. w dawnej Polsce internat prowadzony przez władzę szkoły poza nią, 16. kąpielisko morskie w woj. gdańskim O mimowolny ruch mięśni twarzy O grecki Mars, 18. stan w USA, 19. bronil reduty na Woli O dziesięć złotych albo dziesięć tysięcy, 20. z rodzinnymi zdjęciami, 21. państwo w Afryce zach. O trzecie „J” w starym alfabecie rosyjskim, 22. muza pieśni miłosnej, 23. przodek z portretu O pracuje w branży tekstylnej.

SZYFR

C5, C11, A6, C10, K21 / G8, J14, A1, B15, D14, L8, C8 / L11, M21, H2, B10, A8, B12, B13, K22, G16, G9, F10 / I17, A16, J12, B14, C4, L9 / A20, E23, B16, F18, I6 / H16, G7, L16, K7, J10, / H11, I18, C16, I9, L9 / H8, I23 / L14, K20, J9, C21.

E9 / D8, A19, M6, I23, E5, K6, G4, G15, A5, M18, C20 / E19, A22, D11 / J10, D19, J8, L1, M13//

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 1000 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI DLA ZMOTORYZOWANYCH

Poziomo: bieżnikowanie, motor, ruten, Parkany, starter, topaz, estragon, ulewa, postrzeleniec, erynie, zdrada, flausz, plebs, chart, Worcester, pończocha, Awicenna, ostre, Linde, zbiornik, Tulipan Rossosz, Rostow, Iteb, epigon, Bałtyk, kofet, alkoholomierz, żądło, analityk, Tekla, śnielca, chrąpki, nerki, sceny, kierunkowskaz. Pionowo: podwozie, prądnic, star, czolg, róża, obójczyk, Nina, empiol, łatanie, skręt, efekt, Korfu, Sokal, inspekt, nacisk, okna, bezpieczeństwo, Rżew, telna, eter,

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	
A																								
B																								
C																								
D																								
E																								
F																								
G																								
H																								
I																								
J																								
K																								
L																								
M																								

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (sprawy literackie), Ireneusz J. Kamiński, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzega sobie prawo skrótów.

Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. „KWN” w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Kultura — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 238-34.

Adres redakcji 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 21.

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 233-93 sekretarz redakcji 238-92 dział publicystyki i literacki 275-35 Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-300 Lublin, skrytka pocztowa 231, pocztone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 798, 12.04.88 r. A-4